NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

N. 29. DETROIT, MICH., 16-go LIPCA 1893 ROKU. ROCZNIK III.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit.

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

16	Lipca.	N.	Szkap N. M. P.
17	,,	P.	Naj. Odkupiciela.
18	,,	W	Szymona z L.
19	,,	Ś.	Wincen. z Pauli.
20	,,	C.	Czesława w.
21	,,	P.	Praksedy p.
22		S.	Maryi Magdalen.

Listy i przedpłatę

WYSYŁAĆ NALEŻY POD ADRESEM:

The Polish Weekly

„NIEDZIELA"

DETROIT, MICH.

POLISH SEMINARY,

Cor. St. Aubin and Garfield Ave's.

PRZEDPŁATA WYNOSI:

W Stanach Zjedn.

	Rocznie	Półr.	Kwart.
W Stanach Zjedn.	$ 2.00	$ 1.00	50 c.
W Austryi.	5 złr.	2.50złr.	1.25.
W Niemczech.	10 mk.	5 mk.	2.50.

Entered at the Detroit, Mich., Post Office as second class Mail matter.

Zawiadomienie.

Niniejszem polecam się względom Szan Rodaków jako agent sprzedaży

gruntów, lotów i domów

także zabezpieczam domy i sprzęty domowe od ognia **w najlepszych kompaniach**. Pożyczam pieniądze budującym domy. **Interes** ten prowadzę już od 4 lat i każdego dotychczas **zadowolniłem**. Chcący kupić lotę lub dom niech się zgłosi do **mnie po bliższe informacye.**

Jos. Jurczyk.

507 CANFIELD AVE. DETROIT. MICH

DR. PIOTRA

GOMOZO

jest uważane za jedno z najlepszych lekarstw tego peryodu. Oczyszcza krew, nadaje odnowioną żywotność, wykorzenia zarodki choroby z ciała, gdyż przyczynia się do tego, że wszystkie organy znajdują się w dobrym stanie do działania. Medycyna jest przygotowaną z przeszło trzydziestu rożnych gatnnków ingredyencyj, głównie z roślinnego królestwa i była znaną i w użyciu przez przeszło sto lat. Używano ją z wielką korzyścią w wszystkich ogólnych teraźniejszych dolegliwościach, a zwłaszcza w tych, które pochodzą z krwi i chorego żołądka jako to:

Zatwardzenie, Ból głowy, Dolegliwości wątroby, Żółciowość, Żółtaczka, Reumatyzm, Wodna puchlina, Trudność trawienia, Niestrawność, Gorączka, Róża, Pryszcze, Febra i ograszka, Szkrofuły, Strupy, Świerzbiączka, Glisty, Liszaj, Wrzody, Wyrzuty, Rakowe wyrośnięcia, Bóle i rany, Bóle w systemie kości. Wychudnienie, Dolegliwości niewiast, Słabość, Bronchitis, Żarnice, Ból w krzyżach, Zawrót głowy, i t. d.

GOMOZO nie jest medycyną patentową, też nie sprzedawają jej aptekarze; lecz mężczyzni i niewiasty, którzy używając je, zostali wyleczeni, spowodowani przez wdzięczność dla doktora, i przez życzenie, aby i ich współtowarzysze odnieśli korzyść, działają jako jego agenci i w ten sposób mogą go dostarczyć ludziom cierpiącym w oddaleniu.

Jest nieocenionem jako lekarstwo domowe a mianowicie w miejscowościach położonych bardzo daleko od lekarzy i aptek. Lekarstwa tego nie można dostać od aptekarzy, lecz tylko od miejscowych agentów. Jeżeli nie ma agenta w waszem sąsiedztwie, piszcie po bliższe szczegóły do

Dr. Peter Fahrney,
112—114 S. Hoyne Ave., Chicago, Ills.

FR. X. PETZ,

Skład ZEGARÓW-ZEGARKÓW I JUBILERSKICH przedmiotów. Pierścionki ślubna tanio i we wielkim wyborze. Wszelkie reperacye wykonuje tanio i prędko.

466 GRATIOT AVE. DETROIT

FLINT I PERE MARQUETTE KOLEJ

CZAS KOLEJOWY;

Opuszcza Detroit o godz.8. 40 rano; 1.35 po południu; 5.45 po południu; §6.25 po połud.; §2.45 rano.

Przybywa do Detroit o godz. 9.10 rano; 11.10 rano; 3.35 po połud.; §9.35 wieczorem; §2.35 rano.

Pociągi oznaczone § są codzienne.

Flint i Pere Marquette (F. i P. M.) kolej jest prostą drogą z Detroit do Saginaw, Bay City, Ludington, Manistee, Mich. i do Milwaukee i Północo-Zachód

H. F. MOELLER District Passenger Agent
No. 11 Fort St. W. Detroit, Mich.

DETROIT GRAND HAVEN & MILWAUKEE KOLEJ

STACYA PRZY BRUSH ULICY.

Opuszcza Detr.	Od 9 Lipca 1893.	Przyb. do Detr.
$ 6.40 rano	(Saginaw Valley, Muskegon, Gd. Rap.)	* 9.25 wiecz.
$10.40 rano	(Gr. Haven i Chicago express)	$ 4.05 p. p.
4.05 p. p.	(Milwaukee Saginaw i Gr. Rapids ex.)	$ 11.50 ra.
5.55 p. p.	(Pontiac Suburban)	* 8.15
* 8.00 p. p.	(§ Chicago express sypialny)	* 7.40 rano

* Codziennie $ Za wyjątkiem Niedzieli.

Pociągi opuszczające Detroit o 6.40 rano, 10.40 rano i 8.00 wieczorem łączą się w Durand z Chicago i Gr. Trunk pociągiem idącym do Chicago i na zachód i z C. S. i M. Ry. do Saginaw i Bay City. 4.05 p. p. express ma parlor car Gr. Haven. Chicago express ma Pullman sypialne wagony i bufetowy wagon do Chicago.

WESELA!

Najpiękniejsze i najtrwalsze, fotografie par ślubnych, grup weselnych i familijnych, niemowląt i dzieci od komunii św. wykonywa jedyna

Polska Fotograficzna Galerya

J. SOWINSKIEGO I S. PIOTROWSKIEGO

867 Riopelle ulica

Pochmurne dnie tak dobre jak słoneczne.

WILLIAM ULRICH
Zegarmistrz i Jubiler.



Wielki wybór zegarków Złotych i Srebrnych wszelkiego gatunku.

Piękne i gustowne towary złotnicze w wielkim wyborze

Zegary stojące po najtańszych cenach z piśmienną gwarancyą.

Skład otwarty do 10 godz. wieczór.

322 Gratiot Ave., Detroit, Mich.

Naprzeciw browaru Stroh.

TELEFON 1491·

BRACIA GRINNELL

SKŁAD

FORTEPIANÓW

i

ORGANKÓW



Stołki, nakrycia, nuty i przybory muzyczne.

228 WOODWARD AY. DETROIT MICHIGAN.

$50.00
Do wyboru 10 fortepianów tylko po $50.oo

$20.00
Do wyboru 4 organki tylko po $20.00

$10.00
Do wyboru 4 dobre melodyony tylko po $10.oo

☞ Wyprzedajemy tak tanio aby mieć miejsce na nowe fortepiany i organki, które już są w drodze.

Wszystkie te wyżej wymienione instrumenta zostały odnowione i są w dobrym stanie.

Warunki kupna:

$ 5.00 z góry i po $ 3.00 miesięcznie.

Bracia Grinnell

228 Woodward Ave.

☞ Przyjdźcie jak najprędzej aby wybrać najlepszy instrument.

NIEDZIELA

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA LUDU POLSKIEGO W AMERYCE.

N. 29. DETROIT, MICH., 16-go LIPCA 1893 ROKU. ROCZNIK III.

REDAKTOR KS. PAWEŁ ĆWIĄKAŁA.

Pismo aprobowane przez JW. Biskupa J. Foley'a z Detroit.



ROZMOWA CHRYSTUSA PANA Z SAMARYTANKĄ.

ŚWIĘTA KINGA

PATRONKA ZIEMI POLSKIEJ.

NAPISAŁ

E. ZORJAN.

(Ciąg dalszy.)

Było to w zimie 1240 roku, właśnie około świąt Bożego Narodzenia, gdy do Krakowa doszła wieść straszna, że naród dziki, mieszkający gdzieś na stepach Azyi, Tatarzy, wpadli na Ruś, pustosząc kraj ogniem i mieczem. Ci, którzy z tą smutną przybyli wieścią, opowiadali, że Tatarzy zdobyli Kijów, stołeczne miasto Rusi, zniszczyli wszystko do szczętu i ciągną ku zachodowi na Ruś czerwoną.

W ślad za tą wieścią pokazały się w stronie wschodniej krwawe łuny, które co noc świeciły jaśniej. Strach zapanował wszędzie, modlono się po kościołach o ratunek i wyglądano, co król w tak srogiej pocznie potrzebie.

Tatarów do tej pory w Polsce nie znano inaczej, jak tylko ze słyszenia. Opowiadano o nich dziwa, ba nawet, że pożerali ludzi żywych. Wiedziano już, że Tatarzy dla nikogo nie mają litości, rabują wszystko co im wpadnie w ręce, a lud pędzą daleko w niewolę i srodze się pastwią nad jeńcami.

Wiedziano także, że wpadają w ogromnej liczbie, i tak nagle, że się im ani obronić nie można, ani też przed nimi uciec. Więc też ten i ów myślał zarazem o ucieczce z rodziną i mieniem, aby potem nie było za późno.

W wieściach o Tatarach rozsiewanych było wiele prawdy, ale też i nie mało zmyślenia. Powiedzmy jacy oni byli w rzeczywistości.

Mieszkali w Azyi, daleko na wschód od Polski i zajmowali tam ogromne przestrzenie ziemi. Stałych siedzib nie mieli, lecz koczowali z miejsca na miejsce. Dawniej było o nich głucho, nikt nawet nie wiedział, czy istnieją gdzie jacy Tatarzy. Ale w początkach trzynastego wieku po narodzeniu Chrystusa Pana dowiedziano się w naszej części świata, że Tatarzy wojują w Azyi i zajęli pod swoje panowanie taki obszar ziemi, jak w Europie wszystkie państwa razem ledwo miały.

Zdobycze w Azyi tak rozzuchwaliły Tatarów i w taką wbiły ich dumę, że im się zdawało, iż cały świat mogą zawojować, jeśli tylko zechcą. Była to wielka zarozumiałość, ale Tatarzy liczyli na swą siłę. Dużo ich było a wszyscy do wojny wprawni. Przez lat czterdzieści wojowali ciągle, więc też siły i zręczności nabyli, a nauczyli się wojować doskonale.

W Azyi odnieśli nie mało zwycięstw. To im dało odwagę, jakiej nie wiele miały inne narody. Gdy się komu dobrze powodzi przez czas dłuższy, to się pewno nieobawia niepowodzeń w przyszłości. Tak też było z Tatarami Z wielką odwagą rzucali się do boju, bo byli pewni, że im się powiedzie. Wiedzieli także, że przed nimi szedł wielki pomocnik — strach.

Wojowali tak, jakby chcieli zgładzić wszystkich ludzi, zniszczyć świat cały. Mordowali i palili bez litości. To też kto żyw umykał z krajów przez Tatarów napadniętych, pędził przed siebie, niosąc postrach w świat daleki. Więc kiedy Tatarzy posunęli się naprzód, zastawali lud tak przelękniony, że prawie niezdolny był do obrony. Bez trudu więc wielkiego zajmowali ziemie, a lud ścigali na rączych koniach. Starych i dzieci zabijali, silnych zabierali do niewoli. Oh! straszna to była niewola.

Niewolników uzbrajali i kazali im mordować własnych braci, po wojnie zaś pędzili ich w świat daleki, zaganiali do roboty, niedając nawet poczciwej strawy, bo sami żywili się surowem mięsem, popijając kiszonem mlekiem końskiem. A że byli poganami, więc jeńcy nie mieli nawet pociechy religijnej, nie mieli ni kościołów, ni księży i ginęli w ciężkiem jarzmie bez błogosławieństwa kościelnego, w tęsknocie za ziemią rodzinną.

Tatarzy straszni dla tych, z którymi wojowali, pomiędzy sobą byli zgodni i żyli wszyscy jakby bracia rodzeni. Nikt nikomu nie wyrządził krzywdy, nie obrabował, przeciwnie wspierali się wzajemnie i rzetelnie miłowali. Ale zdawało im się, że oni jedni warci żyć na ziemi, że im tylko godzi się panować, a reszta ludzi powinna im służyć i znosić straszną niewolę.

Tatarzy wojując ciągle przyrośli prawie do koni. Siedzieli na nich jak przykuci, a pędzili szybko, niby ptaki. Dobrze zbudowani, krępi i zwinni, byli ogromnie silni. Twarze ich ciemno-śniade, szorokie, z rzadka tylko były zarośnięte. Oczy mieli skośne, małe, a nadzwyczaj bystre, niby kocie, ruszały się na wszystkie strony i widziały wszystko, co by się gdzie złapać lub zniszczyć dało. Okrywali się kożuchami, włosem na wierzch wywróconym, na głowie mieli futrzane czapki. Za broń służył im topór i łuk silny. Ruszając do bitwy miał każdy Tatar kilka sajdaków pełnych strzał i pęta do wiązania ludzi pojmanych w niewolę. Konie pętano rzemiennymi nahajkami.

Rzucali się do boju z krzykiem, a gęsto puszczając strzały, zasłaniali prawie słońce.

Z zuchwałością wielką puszczali się Tatarzy do Europy, pragnąc zawojować świat cały. Zuchwałość ta była tak wielka, że Chan tatarski napisał do Ojca świętego te słowa: ,,I my także Boga chwalimy i ramieniem jego zburzym świat cały od wschodu do zachodu, albowiem powiedziano jest, iżby na niebie był tylko jeden Bóg, a na ziemi tylko jeden Chan.''

Kiedy do Krakowa doszła wieść o zdobyciu Kijowa przez Tatarów, pytano z trwogą dokąd ten dziki naród dąży, kogo zawojować pragnie? Dowiedziano się wnet, że przedewszystkiem zapragnął owładnąć bogate Węgry. Bo oto stawili się w Węgrach posłowie tatarscy z żądaniem, by król Bela pokłonił się ich Chanowi, jeżeli chce zachować życie. Jeśli zaś tego nie uczyni, zginie wraz z całem swojem państwem.

Poganinowi i wrogowi nie myślał się król Bela poddawać, lecz czekał wyroku Boskiego, gotując się tymczasem do obrony. Dowiedział się niebawem, że Tatarzy obrali sobie drogę przez Polskę. Musiał się bardzo zatrwożyć o córkę swoją, a ta nie mało też bała się o państwo i życie ojca.

Czas był pomyśleć o obronie, bo wróg co dnia stawał bliżej, dając znać o sobie blaskiem łun czerwonych.

Tłumy uciekających szerzyły postrach, opowiadając o potędze Tatarów. Wiódł te hordy Batu Chan, wojownik srogi i bardzo odważny, mając pod swoją wolą pół miliona ludzi. Kronikarze zapisali, że samych siekierników było czterdzieści tysięcy. Siekiernicy ci szli przodem, wyrębując po drodze lasy i zasieki gdzieniegdzie umyślnie budowano, aby pochód dzikich najeźdźców powstrzymać.

Koni mieli Tatarzy kilka razy więcej, niż ich sa-

mych było, bo każdy żołnierz potrzebował często przesiadać się, aby szybko i z siłą napadać na walczących przeciwników. Namioty, zapasy pożywienia, mnóstwo strzał, łuków i siekier, któremi wyłamywano mury i bramy miast, wszystko to wieziono na wozach i na grzbietach wielbłądach.

Im dalej się posuwali, tem większa ich ilość była, bo przybywało im niewolników, z których część używano do dalszych podbojów, obiecując podział łupów wojennych.

Trzema szlakami szli Tatarzy na Węgry pustosząc wszystkie ziemie, które to państwo otaczały. Sam Batu-Chan, naczelny wódz całej wyprawy ciągnął ku Polsce.

Bolesław bawił podówczas z żoną i matką swą w Sandomierzu, głównej swej siedzibie. Było to bowiem miasto bogate i ulubione królowi. W tę właśnie stronę zmierzali Tatarzy.

Król postanowił bronić swego dziedzictwa. Zebrał tedy znaczny poczet szlachty i powiększył swe wojsko żołnierzami zaciężnymi, którym płacono wysoki żołd.

Było to podówczas zwyczajem, że królowie chcąc mieć liczne wojsko, musieli brać ludzi najemnych. Ci najemnicy trudnili się wojennem rzemiosłem i służyli każdemu, kto ich za dobrą zapłatę ugodził. Płaca, którą pobierali, nazywała się żołdem, a stąd owych najemników zwano żołnierzami.

Otóż takich to żołdaków zgromadził Bolesław nie mało dla obrony zagrożonej Ojczyzny. Królowa Kinga ofiarowała pieniądze na opłacenie żołdu. Dotąd leżał jej posag nietknięty w skarbcu. Lecz kiedy ziemia i naród były w niebezpieczeństwie, dobra pani grosza nie szczędziła. Wszak była zawsze matką narodu, ratowała go w potrzebie, nie mogła go więc opuścić, gdy tak straszny wróg zagrażał zagubą.

Tatarzy sunęli ku Lublinowi, którego bez trudu dobyli, zamek obronny spalili i miasto całe zniszczyli.

Czyn ten srogi bynajmniej nie zastraszył wojska królewskiego, owszem zachęcił do obrony nieszczęśliwego kraju przed groźnym wrogiem. Posunął się tedy król brzegiem Wisły ku Lublinowi, mając zamiar napaść na Tatarów gdziekolwiek by chcieli przez rzekę przeprawiać się.

Tymczasem Tatarzy niby przelękli się wojska polskiego i co rychlej umknęli na Ruś. Zaczęto już pocieszać się, że może Polska uniknie strasznej klęski; lecz wojska jeszcze nierozpuszczano.

Zima była twarda, rzeki pokryły się lodem, niby mostami i wtedy właśnie Tatarzy zwrócili się znowu ku Polsce. Przeprawili się bez trudu przez Wisłę i pod Opolem zetknęli się z wojskiem Bolesława.

Bitwa trwała krótko. Tatarów było znacznie więcej, aniżeli Polaków. Uderzyli śmiało i rozsypali naszych po krótkim oporze.

Polacy byli wtedy poraz pierwszy w wojnie z Tatarami i nie znali jeszcze ich sposobu wojowania, dlatego też tak łatwo dali się pogromić.

Bolesław uszedł do Sandomierza, a widząc, że Tatarzy tuż za nim spieszą, musiał zabrać matkę i żonę i schronić się do Krakowa.

Tatarzy nie zasypiali sprawy. Spalili Zawichost i stanęli pod murami Sandomierza. Miasto było dość obronne, ludzi w niem skryło się mnogo, więc sądzili, że potrafią stawić czoło wrogowi. Ale nadzieja ta srodze zawiodła Sandomierzan i tych, co w murach miasta szukali schronienia. W samą środę Popielcową, 13 lutego 1241 roku zdobyli Tatarzy Sandomierz.

Straszny to był dzień. Miasto stanęło w płomieniach, płacz ludzki mięszał się z przekleństwami pogan i mało kto ocalił życie. Większą część mieszkańców wymordowali Tatarzy bez względu na wiek i stan. Nie przebaczyli nawet zakonnikom, którzy z pobliskiego klasztoru do miasta się byli schronili. Tym, których zostawiono przy życiu, kazano się zgromadzić po najbliższych drogach do Krakowa. Bici i gnębieni srodze musieli ci nieszczęśliwi prowadzić wrogów na zagubę własnych braci.

W ziemi krakowskiej bawili Tatarzy nie długo. Trochę ją tylko splądrowali i cofnęli się napowrót do Sandomierza. Nie potrzebowali oni wcale wypoczynku, lecz chcieli znowu wywabić naszych w otwarte pole, ażeby ich łatwiej pokonać. W miastach byli Polacy bezpieczniejsi i zpoza murów walcząc wiele szkody wyrządzali nieprzyjacielowi. W polu zaś przewagę mieli Tatarzy. Pędzili na rączych koniach z równą szybkością napadając jak i umykając.

Polacy, chociaż w pierwszej zaraz bitwie porażeni, nie stracili ducha wojennego. Gotowali się do nowej walki z wrogami.

Wojewoda krakowski Włodzimierz zebrał znaczny zastęp szlachty na sejmik, ażeby uradzić, co dalej należało czynić i jak się bronić przeciwko Tatarom. Wiedzieli już, że Tatarzy cofają się, sądzili więc, że nadeszła najlepsza pora do napadu na nich.

Wszyscy na sejmiku zebrani gotowi byli do wojny.

— Palą nam wsie i miasta, zabierają dobytek, mordują ludzi, znieważają niewiasty, bezczeszczą domy Boże, krwawią ołtarze niewinną krwią zacnych kapłanów, depcą krzyże i Przenajświętsze Ciało Chrystusa Pana —wołano na sejmiku— a my mamy na to patrzeć z założonemi rękoma? Musimy iść w bój za wiarę świętą i ukochaną ziemię rodzinną i albo zwyciężymy, albo jeśli taka wola Boska, zginiemy, ale na srom straszny patrzeć nie będziemy. Jeśli i nas pomordują, to z ciał naszych stanie taki mur wysoki, że nim go rozwalą, inne narody będą miały czas do przygotowania się do obrony, albo do ucieczki!

Tak jedni mówili a wszyscy myśleli, i nie było człowieka, któryby nie pragnął wojny w obronie tego wszystkiego, co mu było najświętszem i najdroższem.

Wszyscy więc stanęli pod bronią i ruszyli natychmiast w pogoń za Tatarami. Sam wojewoda krakowski prowadził naszych do boju.

Koło wsi Wielki Tursk spotkali Tatarów obozujących. Uderzyli nasi gwałtownie i niespodzianie, co wrogów przestraszyło. Nie wiedząc jak się bronić, zaczęli uciekać, pozostawiając w rękach daszych łupy wojenne i wszystkich jeńców. Jeńcy ci skorzystali z tego i co żywo umknęli w lasy, dziękując Opatrzności za tak szczęśliwe ocalenie.

Polacy zagrzani łatwem zwycięstwem puścili się w pogoń za Tatarami i to im zaszkodziło. Ci bowiem ubiegłszy kawał drogi, stanęli w porządku bojowym i znowu ku naszym się powrócili, okalając ich prawie ze wszystkich stron. Nasi widząc to, zrozumieli w jakiem znajdują się niebezpieczeństwie. Gdyby się jeszcze trochę naprzód posunęli, wyginęliby niezawodnie co do nogi. Nikt bo z życiem nie uszedł. Poradził się tedy wojewoda starszych co czynić.

Zginąć byłoby chwalebnie, ale coby się stało z krajem, gdyby tak w jednej bitwie całe jego rycerstwo wyginęło? Tatarów była moc ogromna. Mogli zgnieść tę garstkę dzielnych obrońców i puścić dalej swe zagony, a niebyłoby już nikogo, ktoby mógł Oj-

czyzny bronić. Postanowili tedy starsi cofnąć się tym razem.

Udało się to zupełnie, chociaż nie było bynajmniej ucieczką. Tatarzy nie myśleli nawet gonić naszych, tak byli przestraszeni pierwszym napadem pod Turskiem. Stracili ludzi niemało, a niewolnicy prawie wszyscy im umknęli.

Tatarzy, choć ich było wielu, bali się Polaków i czekali, aż się sami w większej jeszcze kupie zbiorą. Cofnęli się do Sandomierza, gdzie był punkt zborny wszystkich ich gromad.

Nadciągnęły różnymi szlakami wielkie kupy Tatarów i wódz ich najstarszy Batu-Chan. Przeliczył swe siły, nakazał dwudniowy wypoczynek i dopiero potem wyruszyli dalej. Batu-Chan ruszył ku Krakowu, wysyłając drugą część wojska w stronę północno zachodnią. Oba oddziały miały złupić kraj a w nasze święta Wielkiejnocy spotkać się w Krakowie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SIEROTY.

OBRAZEK WSPÓŁCZESNY

napisał

KS. WŁ. CHOTKOWSKI

DR. Ś. TEOL.

(Ciąg dalszy.)

Skończyły się pacierze i porządkiem rozeszli się wszyscy do swych ognisk. Na naszego Szymona padł z kolei obowiązek stania na straży, nie mógł więc razem z drugimi myśleć o spoczynku. Oficer utrzymujący porządek dzienny zebrał gromadkę tych, którzy mieli pójść na straże i wyprowadził ich po za obóz.

Noc była ciemna, księżyc nie wszedł jeszcze na niebo, tylko gwiazdy przyświecały nieco ziemi. Mróz był dość silny, a wiatr dął zimny, do kości przejmujący Szymona; postawiono z dala od obozu na małym pagórku pomiędzy krzewami i kazano patrzeć na szerokie pole, które zamykał z dala czerniejący bór. Stanął tedy oparty na swej kosie i wytężył wzrok na pole.

Minęła może godzina. Na polu nie było nic widać, w koło szumiał las, szeleściały zwiędłe liście drzew porwane wiatru powiewem, nad jego głową zahuczał puszczyk, to znów zerwał się ptak jaki z pomiędzy gałęzi i trzepocząc się szukał schronienia od wiatru i zimna.

Szymom stał spokojnie, czekając rychło go zluzuje kto inny, a na odpędzenie dziwnego i nieprzyjemnego uczucia, jakie każdego mimowoli ogarnia wśród takiej nocnej ciszy, szeptał po cichu pacierze. Wtem z dala od siebie posłyszał szelest, jaki sprawia chód ludzki po zeschłych liściach lasu. Nadstawił więc ucha w tę stronę i przysłuchiwał się z natężoną uwagą. — Po chwili kroki było już słychać wyraźnie.

— Stój!—kto idzie? krzyknął Szymon.

Żadnej odpowiedzi — kroki coraz bliżej było słychać.

— Stój!—kto idzie! bo strzelę! zawołał Szymon głośniej.

— Swój — odpowiedział ktoś z pomiędzy zarośli.

Szymon zastanowił się na chwilę. Głos był mu jakoś znany, ale przypomnieć sobie nie mógł, gdzie i kiedy go słyszał.—Postąpił kilka kroków naprzód i spostrzegł idącego ku sobie sołdata moskiewskiego z karabinem na ramieniu. Pierwszą rzeczą było spuścić kosę do rąbnięcia, ale gdy przybyły postawił karabin bagnetem do ziemi, wiedział Szymon, że nie z wrogiem ma do czynienia.

— Ktoś jest? spytał nieznajomego.

— Polak — tak jak ty, bracie młody — uciekłem z wojska moskiewskiego i przychodzę bić się razem z wami.

Szymuś słuchał tych słów z dziwnem jakiemś uczuciem i z nieopisanem drżeniem wewnętrznem. Głos nieznajomego przejmował go na wskroś, a chociaż w cieniu krzewów twarzy jego dostrzedz nie mógł, zdawało mu się jednak, że go zna dobrze i mimowoli czuł, że go coś pociąga do tego człowieka.

— Powiedźcie mi nazwisko wasze, rzekł po chwili i pójdźcie tu bliżej, abym się wam mógł przypatrzeć.

— Jestem Michał Ratajczak, rzekł nieznajomy, przystępując bliżej. Szymuś krzyknął na te słowa i wołając:—Ojcze kochany — najdroższy mój Ojcze!— rzucił się w jego objęcia.

Ratajczak stał przez chwilę oniemiały, ale i jemu głos Szymusia, zaraz od pierwszych słów zasłyszanych, wydawał się znajomym, a terez krew ojca poczuła i poznała syna. Ściskali się obydwaj, jak się ściskać może tylko syn, który lat blisko dziesięć ojca nie widział. A na niebie migotały gwiazdy bladem światełkiem swojem i zdawały się uśmiechać z radości na ten widok szczęśliwego ojca i nie mniej szczęśliwego syna, którzy się nacieszyć nie mogli sobą.

— Synu kochany—mówił Ratajczak, więc spełniły się moje najgorętsze nadzieje,—zastaję cię w służbie ojczystej.

— Czyż miałem siedzieć za piecem, gdy bracia moi tu marzną i biją się?

— A cóż to masz na czole?

— Odebrałem lekką ranę.

— Więc byłeś już w bitwie?—Pobili was? pytał się ojciec troskliwie.

— O nie! zbiliśmy ich, co się zowie, tylko mnie kozuń drasnął szaszką, gdym ratował dziadka, alem go za to poczęstował nie źle.

— Jakiego dziadka ratowałeś?

— Jakiego?—Naszego. Czy nie wiecie ojcze, że wasz ojciec a mój dziaduś żyje?

— Synu—co ty mówisz? Miałżeby Bóg chcieć tyle szczęścia mnie jeszcze udzielić?

— Tak jest ojcze kochany—jutro go ujrzycie tu w obozie, bo on nam żywności dostarcza i prawie codzień przyjeżdża.

W ten sposób toczyła się rozmowa szybko i we-

soło i ani się Szymuś spostrzegł, jak minął czas jego stójki. W dali słychać było kroki, jakoby szło kilku zbrojnych ludzi, ucichli więc i słuchali.

— Idą już pewnie mnie luzować, mówił Szymuś nadstawiając ucha. Ratajczak rzucił się na ziemię, przyłożył ucho i słuchał, a po chwili, zdejmując bagnet z karabina, utkwił go silnie jednym zapędem w ziemię i przyłożywszy u wierzchu do niego ucho, słuchał znowu przez chwilę. Szymuś tymczasem wytężył wzrok w pole.

Zdawało mu się, że na krańcu lasu, który w dali czerniał, widział jakiś czarny tłum ludzi, wysuwających się z lasu i idących ku nim.

— Jezus! Marya! ojcze, to Moskale!

— Strzelaj! syknął Ratajczak.

I huknął strzał z rewolweru Szymusia a tysiącznym echem rozlegając się po boru, odbijał się pomiędzy drzewami, aż przerażeniem straszliwem dał się słyszeć w obozie.

— Uważaj szepnął Ratajczak, w tę stronę skąd było słychać pierwsze kroki,—to może wysłani przodem żołnierze.

I pochyliwszy się ku ziemi, chyłkiem począł, rozgarniając krzewy rękami, posuwać się naprzód. Po chwili stracił go Szymuś z oczu. Stał z bijącem sercem, nasłuchując każdego szelestu. W tej chwili huknął strzał pomiędzy drzewami w tej stronie, w którą poszedł ojciec, a po chwili zawołano stamtąd głosem potężnym:

— Szymuś! tu do mnie z kosą!

Piorunem skoczył Szymon i niebawem ujrzał ojca obskoczonego przez kilku Moskali.

— Do moich plecy! zagrzmiał Ratajczak.

Szymon sieknął potężnie Moskala, który go od ojca przedzielał i zwalił go na ziemię, a po chwili już przyparł się plecyma do ojca barów. Wsparli się obydwaj o siebie, stopy prawych nóg przystawili jednę do drugiej piętami i wedle potrzeby równocześnie obracali się młynkiem w kółko, tak, że Szymon mógł kosą sięgnąć zawsze tych, którzy zbyt blisko na ojca następowali.

Około dwudziestu sołdatów uwijało się z wściekłością koło nich, bojąc się przystąpić do Szymona, a doskakując tem zajadlej do ojca. Jednemu zdołał Ratajczak bagnet między żebra wsadzić, że z jękiem runął na ziemię, Szymon dwóch zasięgnął kosą śmiertelnem cięciem, trzeci leżał opodal wśród bólów straszliwych, przeklinając broń Lachów, co gdzie dotknie, ranę okropną zadaje. Wściekłość Moskali nie znała granic, bo słyszeli z dala dochodzący hałas, który świadczył o tem, że obóz już zbudzony i że pomoc niebawem nadejść musi. Skoczyło więc kilku ku Ratajczakowi, podczas gdy inni zaczepiali Szymona i jeden z nich, zanim tenże się namknąć i Szymon przeciw nim stanąć zdołał, strzelił doń z karabinu, drugi równocześnie przebił go bagnetem.

— Jezus! Marya!—synu ratuj, zawołał Ratajczak i upadł na ziemię.

Szymon zadrżał na przeraźliwy głos ojca, ale nie tracąc chwili czasu, gdy poczuł, że upadł, obejrzał się ku ziemi, okroczył go nogami i szalonym zamachem, okręciwszy kosą w koło, odciął jednemu z Moskali łeb od tułowia, drugiego ranił w głowę, trzeciego skaleczył w ramię. Jeden atoli z nich był tuż przy nim, więc kosą nicby mu nie był zrobił, a sołdat już co tylko miał go przebić. Piorunem chwycił tedy lewą ręką za rewolwer, tkwiący mu za pasem, pociągnął za cyngiel — i Moskal leżał trupem na ziemi. W tej jednak chwili uczuł dziwne ciepło w lewym rękawie, a miarkując po tem, że go któryś musiał w rękę postrzelić, począł tracić nadzieję. Bronić się jednak myślał do upadłego a nie mogąc władać lewą ręką, przyparł kosę do boku i prawą ręką odcinał się napaści.

Tymczasem począł wołać o pomoc, bo słyszał tuż za krzewami pędem biegnących ludzi. Ale i Moskalom przybywała pomoc, bo owe wojsko, które Szymon widział wychylające się z boru, już nadeszło tymczasem, a tysiące strzałów oznajmiło, że w wielkiej było liczbie.

Moskale, których Ratajczak z synem tak długo zabawiał, byli rzeczywiście naprzód wysłani. Słysząc teraz bliskość swoich, wydali i oni okrzyk radosny, ale wprzódy jeszcze koniecznie Szymona zgładzić chcieli.

Chłopak słabł na siłach i nogi poczęły się pod nim uginać, ale mimo to żaden z Moskali zbliżyć się nie zdołał, tylko strzelali bezustannie. Jakoż po chwili uczuł Szymon znowu, że w bok dostał kulą.

W tej też atoli chwili zabłysła kosa pomiędzy krzewami, za nią druga i trzecia, więc Moskale na widok tego pierzchnęli do swoich. — Szymon nachylił się teraz do ojca. Twarz jego była zimna — przyklęknął tedy, przyłożył ucho do ust i poczuł lekki oddech.

— Boże dzięki ci za to! może go jeszcze uratuję —wyrzekł sam do siebie i zabierał się podnieść go ze ziemi. Ale było to trudnem, bo lewej ręki nie mógł ruszyć, a siły opuściły go całkiem. A jednak spieszyć się trzeba było, bo po nad głową jego świszczały, jak roje pszczół, kule Moskali, a nie daleko już było słychać głosy komendy. Zwątpiały spojrzał w koło siebie i spostrzegł ku wielkiej radości stojącego przed nim starego Macieja.

— Co robisz chłopcze?

— Dziadusiu ratujcie—to ojciec!

Stary Maciej skoczył ku leżącemu na ziemi, porwał go na ramiona i szybko skierował się w bór ku prawej stronie.

Sto kroków uszedł może, zgięty pod ciężarem rannego syna, nie rzekłszy ani słowa. Zgiełk bitwy już mniej go teraz dochodził; zdawało się, że wyszedł z największego niebezpieczeństwa, można więc było przystanąć chwilkę. Jakoż stary złożył ostrożnie rannego na ziemi; a odetchnąwszy parę razy ciężko, zostawił go i poszedł w bór dalej. Po chwili wrócił z małym swym wózkiem, na którym zwykł był do obozu przyjeżdżać. Na pierwszem siedzeniu był mały chłopak, trzymający lejce koni, które stary sam za uździenice prowadził.

— Przywiąż lejce, mówił stary, i zejdź z wozu, możesz mi trochę pomódz.

Chopak zrobił co kazano i jednym skokiem był na ziemi przy Macieju. Po chwili zblżyli się do miejsca, którem leżał Ratajczak, opatrzyli i zawiązali mu rany, a potem włożywszy go na drabinie od wozu, ostrożnie z wielkiem wysileniem ułożyli na wozie.

— Trzeba nam teraz zaczekać jesze, może znajdziemy gdzie Szymusia, bo on był ranny, jeśli się nie mylę i pewnie się tam gdzie obalił. — Zostań tu przy ojcu, ja go poszukam. Poszdł tedy stary w bór powtórnie.

Tymczasem Szymon, gdy widział, że dziaduś ojca odnosi, ostatkiem sił chciał jeszcze pomagać drugim. A nadto spostrzegł, że Ignaś, który razem ze starym Maciejem, usłyszawszy jego wołanie, biegł

mu na pomoc, obskoczony był przez kilku Moskali. Ostatnim więc wysiłkiem zawołał: broń się Ignasiu, aby mu dodać ducha i odwagi. Ignaś stał dzielnie. Pot rzęsistemi kroplami wystąpił mu na czoło od zmęczenia, ale mimo to rąbał kosą na okół. Usłyszawszy głos Szymusia, nabrał otuchy jeszcze więcej, gdy w tem padł nieżywy na ziemię, śmiertelnie w piersi kulą trafiony. Szymuś widząc to, krzyknął przeraźliwie, chciał dowlec się na ratunek, ale w tej chwili odebrał straszliwe uderzenie kolbą w głowę i padł też na ziemię.

Po krótkim czasie zbliżył się w tę stronę Maciej, czołgając się raczej niż idąc i namazawszy mu rany i ostróżnie wziąwszy go na ramiona, poniósł w stronę, gdzie stał jego wózik. Nie długo atoli musiał go położyć, bo siły jego wyczerpnęły się zupełnie. Położywszy więc Szymona na ziemi, poszedł po Antosia i dopiero z jego pomocą zdołał go donieść do wózka. Chłopiec płacząc pomagał w robocie. Rozwiązali oba siedzenia i na rozpostartej słomie ułożyli ojca obok syna. Potem powoli, noga za nogą, ruszyli wąską drożyną przez bór ku chacie leśnika Hejwosza. Zaledwie ujechali kilkaset kroków, spotkali idącego w tę stronę jakiegoś człowieka.

Stary Maciej poznał w nim Hejwosza.

— Dokąd idziecie? spytał Maciej nadchodzącego.

— Słyszeliśmy strzelanie, idę więc patrzeć co się dzieje z moim synem.

— Daj Boże, abyście go znaleźli — ale strzeżcie się, abyście nie wpadli w ręce Moskali, bo żołdactwo pijane mogłoby wam krzywdę jaką zrobić.

— Bóg zapłać za radę Macieju, odrzekł Hejwosz. A kogóż to wieziecie? spytał, patrząc na wóz.

— Mego syna i wnuka wiozę do was — bo nie mam ich gdzie bliżej umieścić.

— Jedźcie z Bogiem — tam jest moja żona i córka — toć was będzie miał kto przyjąć, odrzekł borowy i poszedł dalej w stronę, skąd dochodził huk strzałów.

Stary Maciej przybył krótko przed wszystkiem, cośmy na końcu słyszeli, do obozu, donosząc, że Moskale idą. Jakoż dowódzca natychmiast rozkazał ustawić się w szeregi i być w pogotowiu. Gdy padł pierwszy strzał z Szymusiowego rewolweru, wysłano kilku na zwiady a z tymi poszedł stary Maciej, schwyciwszy kosę w rękę. Niebawem odezwało się więcej strzałów i wszyscy ruszyli w tę stronę. Jakto stary Maciej odszukał Szymusia i jak niespodzianie przytem i syna znalazł, już wiemy, pozostaje nam jeszcze tylko posłuchać o tem, co się stało z obozem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Znachory i szarlatani.

Niejednemu zapewne znana jest opowieść o Stańczyku błaźnie Zygmunta.

— Powiedz mi, — rzekł pewnego razu Zygmunt Stary — co ty myślisz o medycynie i o lekarzach?

— Co ja myślę o lekarzach? Ja myślę, że to jest rzemiosło najpowszechniejsze pod słońcem.

— Hm—odparł Zygmunt.

— Wasza miłość nie wierzy? To ja przekonam waszą miłość, że tak jest jak miałem zaszczyt powiedzieć.

Nazajutrz rano wychodzi Stańczyk na rynek krakowski z podwiązaną brodą, obłożoną materacykami.

Spotyka go jeden ze znajomych:

— Co tobie jest Stańczyku?

— Ach, zęby strasznie mnie bolą!

— Tylko to, czekaj, dam ci zaraz lekarstwo.

Rozeszli się. Po chwili Stańczyk spotyka drugiego znajomego. Ta sama rozmowa, ta sama pochopność do kuracyi. Trzeci, czwarty, dziesiąty, każdy zatrzymuje Stańczyka, każdy radzi mu jakieś lekarstwo. Nareszcie wraca Stańczyk na zamek królewski.

— Co tobie, mój Stańczyku?—pyta król.

— Ach, zęby...

— Czekajże, dam ci tu zaraz kropli, które natychmiast...

A błazen na to, zrzuciwszy materacyki, chustki i kataplazmy...

— I wasza miłość jesteś doktorem! Idąc tutaj, spotkałem ich ze dwie kopy. Założę się, że znajdę tysiące doktorów w tem mieście.

Czy historya ta zmyślona jest, czy prawdziwa — mniejsza, ale to pewna, że z łatwością możnaby ją dzisiaj powtórzyć, i Stańczyk z pewnością wygrałby zakład. Czy jest bo człowiek, któryby nie udzielił życzliwej rady w chorobie, tak sobie, po przyjacielsku, od niechcenia?

— Kiedy ja byłem chory — powiada — to zażywałem to a to i natychmiast pomogło. Wierzaj mi, zrób tak samo, a doktorów na cztery wiatry! Oni na niczem się nie znają.....

Kto nie słyszał takiej rady, kto sam z nią się nie odzywał?

W obec tego niepodobna zaprawdę dziwić się, że po wszystkie czasy na świecie nie brakło miejsca dla znachorów i szarlatanów, do których spieszył po radę ten, co doktorom nie ufał. Było tak od wieków, ale prawdziwa, typowa szarlatanerya, od jakich lat trzystu datuje swe istnienie. I, rzecz godna uwagi, każdy prawie z tych szarlatanów dochodził do rozgłosu i pieniędzy, biedy mało który zaznał, gdy z prawdziwymi lekarzami niezawsze tak bywało.

W Paryżu zapisały się w bieżącym już wieku imiona największych może szarlatanów, wśród których taki Tabarin, a zwłaszcza Mengin imponuje blagą, w tem mieście, które wie przecież, co to jest blaga. W szkarłatnym, haftami pokrytym płaszczu, w hełmie lśniącym na głowie, szarlatan paryski objeżdża na tryumfalnym wozie ulice, zatrzymuje się na jakimś placyku i obwołuje lekarstwa cudowne, a jak Mengin naprzykład, to i drobiazgi różne, głównie zaś ołówki, które na wyścigi ludność prosta kupowała. Tenże Mengin, najlepszy może typ w swoim rodzaju, zapewniał, że na to, aby zostać dobrym szarlatanem, trzeba lat dwudziestu. Gdyby tak było istotnie, byłby to zawód najtrudniejszy, najpracowitszy; ale obfitość szarlatanów przekonywa, że tak nie jest; a przynajmniej, że mówiąc to, Mengin miał na myśli może arcymistrzów, takich jak on sam jedynie.

Wielu szarlatanów poświęca się wyłącznie chorobom zębów, których ból uśmierzają najczęściej za pomocą jakichś kropel mniej więcej cudownych, są jednak i tacy, którzy sprzedają balsam kojący wszystkie bez wyjątku bóle i cierpienia. W Normandyi zasły-

nął przed kilkudziesięciu laty doktór Żożo, który objeżdżał wsie i miasteczka z niezawodnem lekarstwem na robaki. Kędy się pojawił, nie było żywej istoty, od najdrobniejszej dzieciny począwszy, któraby jego syropu nie łyknęła. Ów szarlatan, który syropowi swemu dawał miano ,,Balsamu Vermifugo-Panaceti" poprzedzał swe ,,konsultacye" taką przemową:

,,Robak, ten wróg rodzaju ludzkiego, robak, niszczyciel wszechistnienia, robak, pożeracz ciał naszych żywych i umarłych, został nareszcie przezemnie pokonany, zwyciężony. Jedna kropla, atom jeden mojego szacownego likworu wystarcza na wypędzenie ohydnego pasożyta. Jakikolwlek robak cię nurtuje, czy długi, czy płaski lub okrągły, wypędzę go. Wypędzę i takiego robaka co świdruje między skórą a ciałem, albo i w mózgu czasami, wypędzę i robaka ,,taenia", którego pospólstwo soliterem zowie! I taka jest, panowie, moc cudowna mego cudownego balsamu, że nietylko wyzwala od tej plagi człowieka za życia, ale że ciało i po śmierci od niej jest zabezpieczone. Kto mój balsam zażywa, sam niejako zawczasu balsamuje swój organizm na wieki—staje się nieśmiertelnym! I nie dosyć na tem. Ach panowie, gdybym wam mógł tutaj wszystkie zalety mego wynalazku wymienić!"

Przemowa trwa dalej ożywiona bajeczną gestykulacyą. Czy nieprawda, że ten eliksir z góry balsamujący człowieka, to szczyt pomysłowości? A jednak ilu, ilu słuchaczom trafiają podobne przemowy do przekonania!

Jeszcze w r. 1815 w Paryżu zbiegały się tłumy, kiedy ulicami przeciągały rydwany doktora Napolitano i jego pachołków. Inny szarlatan Duchesne, kładł na siebie worek z dwoma otworami na ręce, i wyrywając prawą ręką ząb, lewą strzelał z pistoletu.

Z biegiem czasu typ szarlatana wygładza się, doskonali, staje się spokojniejszy, poważnieje, o ile tak mówić się godzi. Mamy już do czynienia z pseudolekarzem, który i w ubiegłych epokach pojawia się również czasami.

Na setki liczą się tacy lekarze w dwóch ubiegłych stuleciach, niektórzy z nich dochodzą do wielkiego rozgłosu, a pamiętniki współczesne podają wieści o ich wielkiem powodzeniu, ale i o wielkim nieraz upadku i nędzy na stare lata. Taki Caretto naprzykład, Włoch, dający sobie tytuł markiza, sprzedawał cudowne krople, z których każda kosztowała dwa dukaty. I byli ludzie, którzy te krople kupowali, on przecież nie zrobił majątku. To samo powiedzieć można o tak zwanych owczarzach, leczących ziołami w górach zbieranemi; i oni miewali chwile wielkiego powodzenia, do trwałej fortuny jednak żaden nie doszedł.

Może nigdzie nie było tylu cudownych lekarzy, co we Francyi. Za drugiego cesarstwa jeszcze żuaw Jacob prawdziwą w Paryżu zrobił ,,furorę". W ostatnich czasach jeżdżono często i nieraz umyślnie do Algieru, gdzie Arab pewien używał sławy największego znachora. Abderrhaman było jego imię, przyjmował pacyentów w uroczej willi, leczył głównie ziołami i niewinnemi środkami przeczyszczającemi.

To znów ogłaszają się cudowni lekarze, którzy wszelkie cierpienia usuwają przez pocieranie, lub naciskanie blaszkami pewnych mięśni. Ostatnim wyrazem tego kierunku był szumnie ogłaszany bardzo niedawno ,,instytut dynamo-terapeutyczny" w Hawrze. I ten miał zwolenników, ale niedługo. Spostrzeżono się, że coś ten system kuracyi nic a nic pomaga, ale spostrzeżono się wówczas dopiero, kiedy sprytny mistyfikator czmychnął już z dobrze naładowaną kiesą.

Oprócz szarlatanów z profesyi są jeszcze przypadkowi, w tym rodzaju jakich Stańczyk po drodze spotykał. Ci miewają specyalności: jeden leczy reumatyzmy, drugi gorączki zadawnione, wady serca itd. A ilu znachorów po wsiach miewa lekarstwa na wściekliznę i nosaciznę? I ludzie ci zawsze miewają pacyentów, zawsze znajdują wiarę, większą częstokroć aniżeli lekarze z zawodu. Znana jest opowieść o pewnym lekarzu, który w dość głośnym i zbogaconym szarlatanie poznał swojego własnego niegdyś służącego.

— Powiedz mi, co ty robisz — rzecze lekarz, jak ty bierzesz się do rzeczy, że masz daleko więcej pacyentów odemnie?

A on mu na to:

— Racz waćpan wyjrzeć przez okno. Oto przechodzi w tej chwili ulicą mniej więcej pięćdziesiąt osób. Ile w ich liczbie policzymy rozumnych?

— No, dajmy na to pięć, albo siedm.

— No, przypuśćmy, że dziesięć. Otóż tych dziesięć osób w razie potrzeby pójdzie do pana. A reszta, pozostałe czterdzieści, do mnie...

Tak jest istotnie, i napróżno siliłby się ktoś wytłomaczyć tym ludziom, że od szarlatanów stronić powinni. Tylu jest wreszcie chorych lub na wpół chorych, których cierpienia są chroniczne lub nieuleczalne, że ci, przekonawszy się o bezsilności medycyny, zawsze będą szukali pomocy u szarlatanów, którzy jeżeli nie uleczą pacyenta, to przynajmniej łudzą go i dodają otuchy. A złudzenie to rzecz bardzo cenna i bardzo dobra niekiedy.

Jałmużna.

Maj to był właśnie. Ledwie jutrzenka
 Rozlała blaski i wonie,
Gdy, jak ty, dziecię, piękna, maleńka
 Biegła dziewczynka przez błonie.

I znać, że śpieszno było niebodze,
 Że pełna żalu czy trwogi,
Aż gdzie drewniany krzyż stał przy drodze,
 Pod krzyżem siedział ubogi.

,,Pan Jezus z tobą, dziewczynko miła!
 Gdzie to tak śpieszno i czego?
Uczcij krzyż Pański!—Bóg pomoc zsyła
 Tym, co jej proszą u Niego."

Na taki widok, na głos staruszka,
 Dziewczynka nagle się wstrzyma
I, łzy otarłszy końcem fartuszka,
 Mierzy go długo oczyma.

A starzec znowu: ,,I cóż tak stoisz,
 Tak patrzysz?—Skąd te łzy twoje?—
Czy czego żądasz? czy się mnie boisz?"—
 —,,Ja się ubogich nie boję.



WŚRÓD PUSZCZY.

,,Bo oni biedni; kochać ich trzeba,
Często słyszałam od matki;
Zawsze im sama wynoszę chleba,
Jak który przyjdzie do chatki.

,,Ale, mój dziadku, matka mi chora,
Chce mnie, jak mówi, porzucić;
Z łóżka nie może wstać już od wczora:
Ach! jakże nie mam się smucić!

,,Całą noc słysząc jęk nieustanny,
Klęcząc, prosiłam ze łzami
Pana Jezusa, Najświętszej Panny,
By mieli litość nad nami.

,,I ty, staruszku, módl się do Boga,
Proś Go o zdrowie mej matki,
A przyjm to—choć ja sama uboga,
Choć to już nasze ostatki.

,,Chciałam dziś za to bochenek chleba
Kupić dla siebie, lecz lepiej
Tobie to oddam; proś tylko nieba,
Niech moję matkę pokrzepi!"—

,,Tak jest, pokrzepi! będę go prosić,
Nieprózna twoja otucha!
Przestań, dziewczynko, ócz łzami rosić:
Bóg szczerej prośby wysłucha.

,,Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu, rzekł Jezus, Niebo jest dłużne
I Bóg go hojnie nagrodzi."—

Zaledwie skończył, aż w mgnieniu oka
Blask nagły błysnął dokoła,
Z plec mu szat grubych spadła powłoka:
Starzec się zmienił w anioła.

Z ramion mu złote skrzydło wystrzeli.
Trzy gwiazdy młodą skroń wieńczą;
Do kolan długi strój śnieżnej bieli
Jasną przepasan był tęczą.

Pogoda wiosny śmiała się z czoła,
Wonność wionęła we tchnieniu,
Gdy, mgłą przejrzystą oblan dokoła,
Wzlatał ku nieba sklepieniu.

I gdy dziewczynka nagłem widzeniem
W dłoni strwożony wzrok chowa,
Z tkliwym uśmiechem, z wdzięcznem spojrze-(niem
Te jeszcze do niej rzekł słowa:

,,Nie płacz, dziewczynko! wracaj do chatki!
Bóg twoję żałość obaczył
I drogie zdrowie wrócił dla matki
I dla cię szczęście przeznaczył.

,,Bo kto biednemu poda jałmużnę,
Cierpiącym boleść osłodzi,
Temu, pamiętaj, Niebo jest dłużne
I Bóg go hojnie nagrodzi!"

To rzekł; i coraz i coraz chyżej
Wznosi się we mgle obłoka
I coraz wyżej i coraz wyżej,
Aż całkiem zniknął z przed oka.

Długo dziewczynka, drżąca i zbladła,
Jak wryta na miejscu stała;
Przez nadzwyczajne zlękła widziadła,
Wracać do chatki nie śmiała.

Wróciła wreszcie—o! co za radość,
O! co za szczęście tam było!
Stało się wszystkim życzeniom zadość:
Matce jej zdrowie wróciło!

Ant. Edw. Odyniec.

ROZMAITOŚCI.

SZCZEGÓLNIEJSZE ZAJĘCIE

dla kobiet wynalazły obyczaje chińskie. Oto w każdem większem mieście istnieje tam osobna kasta plotkarek, które rozdzielone na partye, obiegają około południa bogatsze dzielnice miasta, zatrzymując się przed zamożniejszemi domami i zapytując, czyby nie mogłej rozerwać nudzącej się zazwyczaj w nieobecności męża pani domu. Ponieważ pani domu, (naturalnie, tylko w Chinach!), jako prawowita córka Ewy, nie jest pozbawiona ciekawości, zazwyczaj więc oferta zgrai plotkarek bywa przyjmowana. Zasiadają one w takim razie na rozesłanej macie w rogu pokoju i zapoznają słuchaczkę swą z najświeższemi skandalami, a gdy takowych wypadkiem brakuje, opowiadają swawolne anegdotki i popisują się dowcipami. Za godzinę otrzymują zwykle pół korony. Honoraryum to wzrasta jednak w miarę, gdy plotkarka przynosi jakąś sensacyjną historyjkę, zwłaszcza z życia komedyantów. Wtedy nagrodą bywa często nawet cenny podarunek. Czy owe plotkarki chińskie nie zastępują tam pewnego rodzaju europejskiej prasy?

CZŁOWIEK Z ŻELAZA.

Podczas, gdy fizyologia usiłuje znaleść sposób naprawy psujących się żywych ustrojów, przykłada mechanika wszelkich starań, by stworzyć człowieka z żelaza. Cud ten urodził się w New-Yorku, z ojca (oczywiście) Amerykanina, profesora mechaniki Jerzego Moore. Chłopak rokuje najpiękniejsze nadzieje, mierzy bowiem 1 metr 82 centymetry, pali cygaro i przechodzi się po mieście, dzwoniąc ostrogami. Co z niego dalej będzie, trudno przewidzieć; na razie używa go ojciec do pociągu wózka, w którym siedzi kapela, złożona z kilka muzykantów. Oczywista rzecz iż mowa tu o automacie, poruszającym się za sprawą parowej lokomobilki, o sile pół konia parowego, ukrytej w wnętrzu automatu, pod stalowym pancerzem. Zużyta para ulatnia się przez usta i cy-

garo, które żelazny człowiek ćmi zawzięcie. Dym spalonej gazoliny wychodzi otworem, umieszczonym w hełmie i tworzy nad nim rodzaj pióropuszu. Dowcipnie pomyślany system trybów i lewarów sprawia to, iż automat nie posuwa się, lecz kroczy i to właśnie stanowi nowość pomysłu. Chód żelaznego człowieka jest swobodny; ostrogi i wózek służą mu za punkt oparcia. Szybkość, z jaką się porusza, wynosi 5 do 8 kilometrów na godzinę. Twórca jego ma zamiar wysłać go do Chicago... piechotą i wyzywa do ,,marsch'u'' najdzielniejszych amerykańskich piechurów.

PIĘKNY PRZYKŁAD

obywatelskiego poczucia złożył w tych dniach książe Meiningeński. Oto na wiadomość o braku paszy, który jest obecnie powszechną klęską niektórych okolic Niemiec, a szczególnie dał się we znaki księstwu Meiningen, książe rozkazał natychmiast otworzyć park swój dla bydła okolicznych włościan, pozwolił wypasać z wielkim kosztem pozakładane w lasach łąki dla zwierzyny, nadto zaś ofiarował wszelkie zapasy paszy, jakie bez uszczerbku dla jego własnego inwentarza, celem ratunku współobywateli można było przeznaczyć. Aby to wszystko uskutecznić, książe rozkazał przedtem zastrzelić czterysta sztuk swoich jeleni, których nie mógłby wobec tego wyżywić, pozostawił zaś sobie tylko 200 sztuk w oddzielonej części zwierzyńca. Trzeba dodać, iż zwierzyniec ów i ta obfitość jeleni były dumą księcia. Zagorzały myśliwy i hodowca zwierzyny ustąpił tym razem przed poczuciem obowiązku obywatelskiego.

NIEWOLA W WOLNEM PAŃSTWIE KONGO.

Mocarstwa, które ,,w imię Boga wszechmocnego'' podpisały traktaty konferencyi antiniewolniczej, nie przewidywały zapewne, iż wolne państwo Kongo będzie prowadziło handel ludźmi. Tak jednak się dzieje. ,,Temps'' ogłasza w tym względzie ustęp z listu, pisanego przez p. Greshof, generalnego agenta niderlandzkich posiadłości Kongo.

,,Wolne państwo Kongo — pisze p. Greshof — potępia w zasadzie niewolnictwo, choć je prowadzi zupełnie jawnie. Nabywa ono niewolników pod pozorem zniesienia niewolnictwa, to jest przywrócenia swobody tym nieszczęśliwym — po upływie lat siedmiu. Zanim to nastąpi, agenci państwa Kongo pędzą ich tam w okowach lub z kamieniami u nóg. A wiecie, ile też płacą oni za tych przyszłych wyzwoleńców? Każdy niewolnik wymieniany bywa za strzelbę z pistonami. Otóż robota takiego człowieka w ciągu lat siedmiu przedstawia 2000 fr.. wynarodzenia, wedle cen płaconych tamże za pracę ludzi wolnych. A zatem za strzelbę wartości 10 franków państwo nabywa pracownika, który mu przynosi 2000 fr. Tak pojmowana sprawa antiniewolnicza jest wcale niezłym interesem.''

WYPRAWA FRIDTJOFA NANSEN.

W dniu 20 b. m. wyrurzył z Chrystyanii na wyprawę do północnego bieguna dr. Fridtjof Nansen na parowcu ,,Fram.'' Okręt ten jest specyalnie na ten cel zbudowany z bardzo mocnego materyału, oświetlony elektrycznością i ma kajuty zabezpieczone przeciwko mrozom. Odzież uczestników tej wyprawy składa się z wełnianych kaftanów, islandzkich kurtek, kamaszy i burki z kapturem na głowę, a nadto prubego nieprzemakalnego płaszcza. Na większe mrozy przygotowane są ubrania wełniane, przylegające szczelnie do ciała. Nansen kieruje się najprzód w stronę Nowej Ziemi, dalej przez morze Kara, wzdłuż syberyjskich wybrzeży, ma nadzieję przecisnąć się pomiędzy lodowcami Spitzbergu i Grenlandyi i dotrzeć do północnego bieguna. Norweski storthing po długich namysłach i burzliwych przejściach zdecydował się wyznaczyć na tę wyprawę 300,000 koron.

KARYGODNA LEKKOMYŚLNOŚĆ.

Jeden z dzienników monachijskich doniósł pod powyższym tytułem, iż w Abenbergu pewien młody człowiek założył się, iż wypije 10 butelek piwa jedna po drugiej i zakład wygrał, ale padł trupem na miejscu. Ponieważ zaś w Niemczech nie brak piwoszów, co i większej ilości kutelek dają zwykle radę, dzienniki berlińskie wydrwiwają zatem ową wiadomość, mówiąc, że uwierzyćby jej można tylko wówczas, gdyby słynne bawarskie pragnienie znacznie się w ostatnich czasach zmniejszyło, na co jednak brak zgoła dowodów. A może butelkami zowią się tam wiadra?

CESARZOWA CHIŃSKA

w otoczeniu dam dworu dokonała niedawno dorocznej ceremonii zrywania liści morwowych w ogrodach pałacowych w Pekinie. Ceremonia ta odpowiada obrzędowi orki, dokonywanej przez cesarza i ma na celu zachętę poddanych do pracy.

,,FIVE O'CLOCK'' CZŁONKÓW IZBY GMIN.

Wspaniały taras, otaczający w całej długości pałac Westminsterski i wychodzący na Tamizę, pomiędzy czwartą i piątą popołudniu zapełnia się zwykle w porze letniej gośćmi płci obojej, zaproszonymi przez czkłonków Izby gmin. Tłum bywa tak liczny, iż nieraz braknie zapasów dla zadowolnienia apetytu pięciuset do sześciuset osób, których nie interesują bynajmniej przemówienia w sprawie home-rule'u. Dzwonek przywołuje od czasu do czasu deputowanych do obowiązku. Biegną, aby dać głosy i powracają jeszcze szybciej. Polityka, ma się rozumieć, jest na ostatnim planie.

EKSCENTRYCZNOŚĆ AMERYKAŃSKA.

Jedna z gazet nowoyorskich donosi: Przed paru dniami, do składu jubilera Heinecka w New-Yorku, weszła młoda, piękna i elegancka dama, prosząc o pokazanie śpilek do gorsu, zaopatrzonych w małe złote łańcuszki. Wybrawszy śpilkę, zaopatrzoną w sześć ,,inches'' (cali) długi łańcuszek, odezwała się do subjekta: ,,Bądź pan łaskaw łańcuszkiem tem opleść szyję tego zwierzątka''. Przy tych słowach wydobyła z kieszeni pudełeczko, w którem, po otwarciu, ukazała się zielona jaszczurka. Subjekt, osłupiały ze zdumienia, ośmielił się zapytać: ,,Przecież pani nie będzie chyba nosiła tego zwierzątka, jako

ozdoby.“—„Owszem!“—odparła dama przytrzymując małego gąda bez żadnego wstrętu, zmusiła tem samem subjekta do spełnienia swego życzenia. Następnie, zatknąwszy śpilkę u gorsu, oddaliła się ze sklepu z uwiązaną na łańcuszku i spacerującą dość swobodnie po jej falujących piersiach gadziną. Znajomym swoim opowiada owa Amerykanka, iż mała gadzina jest podarunkiem od przyjaciółki z Brazylii.

PRZYPIECZĘTOWANY KAPITAN.

Niedawno do Odesy przybył parostatek angielgielski „Science.“ Według obowiązujących przepisów, urzędnicy celni nałożyli zaraz na skrzynce w kajucie kapitana pieczęć, za naruszenie której winny płaci 200 rs. kary. Kapitan statku, Croxon, odprowadziwszy celników, powrócił do kajuty, a zapomniawszy o opieczętowaniu skrzynki, usiadł jak to miał zawsze zwyczaj robić — na niej i zaczął rozmawiać z kolegami. Po chwili, gdy chciał powstać, poczuł, że mu niższa część ubrania przylgnęła do pieczęci. Położenie kapitana było bardzo przykrem, gdyż w razie zerwania pieczęci zapłaciłby wyżej wymienionę karę, czekać zaś w tej pozycyi na powtórne przybycie urzędników nie było zbyt wygodnem. Wpadł więc na pomysł... zostawienia ubrania na pieczęci a sam wydostał się z niego.

LAGARTIJO,

słynny toreador hiszpański, który niedawno, z powodu podeszłego wieku, pożegnał się z publicznością i obciął znak swojej „godności“ — warkocz, zmógł w swojem życiu około 4000 byków. Raniony był dwadzieścia kilka razy, mimo to zawsze wychodził z tych krwawych zapasów bez większego szwanku. Sumę, jaką Lagartijo zarobił na swem rzemiośle, obliczają na pięć milionów posetów. Niewiele mu jednak z tego zostało, był bowiem hojnym w wydawaniu uczt dla swych przyjaciół i wielbicieli, nadto zaś czułym na głos wszelkiej nędzy, zrzekając się nieraz chętnie swych honoraryów na celę dobroczynne. Sumka jaką oszczędził, zapewni mu jednak spokojną starość.

KONIE W KAPELUSZACH.

W południowej Francyi nierzadko spotkać można konie w kapeluszach słomkowych. Zwyczaj ten upowszechnił podczas ubiegłego upalnego lata pewien pomysłowy właściciel stajen z Bordeaux i odtąd dość wielu właścicieli kładzie na głowy koniom szeroki kapelusz z daszkiem, z otworami na uszy. Kapelusze te łagodząc siłę żaru podającego z góry, dają pożądany cień na oczy konia. Niektórzy we wnętrzu kapelusza umieszczają gąbkę napojoną wodą z octem, która głowę zwierzęcia zwilża i orzewia.

ODNALEZIENIE MIASTA AZTEKÓW.

W pobliżu słynnych kopalni srebra w Jutland (Meksyk), o czterdzieści mil od Oajaca, eksploratorowie angielscy i amerykańscy odkryli wśród gęstej puszczy, która od kilku stuleciu zostawała nietknięta, ruiny nawpół zagrzebanego miasta Azteków. Budowle wzniesione są po większej części z olbrzymich odłamów kamienia. Wykopano także metale, obrazy, osobliwego kształtu garnki i zbroje, oraz mnóstwo ludzkich kości. Były to zapewne ofiary, składane bogom, zaś mury, wśród których leżą, stanowiły świątynię. Ściany jej pokryte były freskami, dość dobrze jeszcze zachowanemi.

JUBILEUSZOWA KARTA POCZTOWA.

Szwajcarski zarząd poczt postanowił uczcić pięćdziesięciolecie ukazania się pierwszej szwajcarskiej marki pocztowej, wypuszczeniem jubileuszowej karty pocztowej do wewnętrznej komunikacyi, w cenie 5 centymów. Karty zostały odbite w 36,000 egzemplarzy i będą miały obieg od 25 czerwca do 31 grudnia r. b. i mają być sprzedawane wyłącznie na międzynarodowej wystawie znaków pocztowych, jaka się odbywała w Zurychu od 25 czerwca do 2 lipca. Komitet wystawowy postanowił dołączać do biletów wejścia kupon, który za opłatą 10 centymów może być zamieniony na dwie karty pocztowe. Na karcie pod stemplem pocztowych przedstawiona jest reprodukcya obrazu Kollera „Gothard-Post“, u góry zaś odbity jest widok jeziora Vierwaldstaetter.

JUBILEUSZ... GĘSI.

Na wystawie drobiu w Lignicy znajdowała się para gęsi, żyjących już 50 lat pod dachem swej właścicielki.

UŚMIECH JAPOŃSKI.

W ostatnim zeszycie miesięcznika „Atlantic Monthly“ znajdujemy wiele szczegółów o Japonii obyczajach jej mieszkańców. Pisarz angielski tłómaczy pozorną lekkomyślność, tak często zarzuconą Japończykom. We wszystkich okolicznościach życia, najbardziej uroczystych, również jak i najbłahszych, Japończyk uśmiecha się i wykonywa ukłony. Z początku dziwi to Europejczyka, potem drażni, wreszcie gniewa. Pewien Anglik, M. T., zamieszkały w Yokohama, brał lekcye języka japońskiego od starego samurai, noszącego zawsze przy sobie dwie szpady. Staruszek odznaczał się wyszukaną grzecznością względem swego ucznia i oddawał mu tysiące usług. Pewnego dnia (a był to nowy rok japoński, dzień, w którym każdy potrzebuje tam pieniędzy), samurai przyszedł prosić Anglika, ab mu ten zaliczył pewną sumę a conto jego należności, dając w zastaw jedną ze swoich szabli, nadzwyczaj cenną. M. T. bardzo chętnie prośbie tej uczynił zadość. Wkrótce potem pieniądze zostały oddane, szabla powróciła do swego właściciela. Było to niejako wstępem do dramatu. Po pewnym czasie M. T., posądzając Japończyka o jakieś wykroczenie, robił mu ostre wyrzuty. Samurai odpowiedział na nie uśmiechami i ukłonami jedynie. To zwiększyło jeszcze gniew Anglika, który wreszcie, doprowadzony do ostateczności temi nieustannemi grymasami, uniósł się do tego stopnia, iż uderzył staruszka. Ten odrazu spoważniał, ruchem szybkiem dobył miecza i chciał ugodzić nim w swego przeciwnika. Nagle jednak rozmyślił się, wsunął znowu szablę do pochwy i najspokojniej, wśród nowych ukłonów i uśmiechów wyszedł z pokoju. Tegoż wie-

czora rozpłatał sobie wnętrzności, w pozostawionym liście tłómacząc, iż nie poważył się zabić M. T. szablą, na którą tenże pożyczył mu pieniędzy, lecz że nie może żyć po otrzymanej zniewadze.

Autor artykułu przytacza wiele dowodów poczucia honoru u Japończyków i tłómaczy ich nieustanny uśmiech wymogami etykiety i wielkiem nad sobą panowaniem. Ten naród, śmieszny na pozór, małostkowy, wydaje się takim tylko tym, co go znają powierzchownie. Głębszy badacz dostrzega w nim prawdziwą energię i niezwykłą siłę woli. Powoli wpływ Europejczyków robi swoje, krajowcy pozbywają się przesadnej uprzejmości, wchodzą jednak w drugą ostateczność i nabierają niezwykłej powagi. W głębi Japonii stare obyczaje przetrwały dotychczas. Autor, spędziwszy tam czas dłuższy, tak dalece przyzwyczaił się do owych uśmiechów i ukłonów, że zdarzało mu się podczas wycieczki do Tokio w tenże sam sposób zachowywać się wobec swoich rodaków. Na szczęście towarzyszący mu Japończyk opamiętał go bezwiednie, mówiąc: ,,Cóż to za człowiek niegrzeczny, co stoi sztywny i niewruszony, wówczas gdy pan uśmiechasz się do niego i schylasz przed nim aż do ziemi?''

Złote myśli
JULIUSZA SŁOWACKIEGO.

Czyste zwierciadło skazić może lekkie tchnienie.

Zbrodnia czeka zasłużonej kary,
A cnót przyćmionych, kiedyś—znajdą się obrońce.
Kto jak słońce zagasa—wstanie jako słońce.

Czystych modlitw władza
Usypia wszystkie troski i uśmierza bóle.

Póki jesteśmy młodzi, wszystko jest przed nami.

Żadnych kłosów ludziom nie wysieją śmiechy.

Każdy ma do picia kielich mniej lub więcej gorzki.

Bóg cierpienia zsyła,
Ale można spokojność wyprosić u Boga.

Kto posieje dla Boga—nie straci.

Niechaj wie człowiek, że mu Bóg pożyczył
Życia na krótko, niechaj odda w czynach
Co winien Bogu.

Trzeba się najprzód nauczyć ludziom nie zazdrościć.

ZE ŚWIATA.

Z POD ZABORU ROSYJSKIEGO.

„Wianki na Wiśle“. Tradycyjne święto Kupały obchodziła w dniu św. Jana (24 z.m.) Warszawa. Bulwary nadwiślańskie zaroiły się od tłumów publiczności. W pobliżu artystycznie przystrojonej przystani ustawiono rzędy krzeseł dla członków Towarzystwa. O zmierzchu rozpoczął się korowód ślicznie udekorowanych łodzi i na falach szarej Wisełki zaczęły się ukazywać symboliczne wianki. Niebawem cała rzeka zapłonęła od płynących świateł. Wśród drobnych towarzyszów poważnie pruła nurt Wisły łódź Towarzystwa subjektów handlowych; za nią sunęła chyża jej siostrzyca z transparentem Lutni, a podążał za niemi śliczny „Olbrzym wianek“ Towarzystwa cyklistów, zdobny w kwiecisty bicykl. Wszystko kilkakrotnie przepływało przed okiem zaciekawionej i klaszczącej z zapałem publiki. Okazale wystąpiły cechy rzemieślnicze. Młynarze na specyalnej krypie, za wiatrakiem, pokojowi malarze zbudowali średniowieczną gondolę, oświetloną elektrycznością, a ubrana kwieciem beczka, jako wianek cechu bednarzy, zamykała ten płynący korowód, lśniący od światła i kwiatów. Około godziny 10-tej puszczono z przystani wioślarskiej snop różnokolorowych ogników, posiłkowany przez strugę rakiet i światła bengalskiego. Zapalono w dole rzeki beczki smolne i ciemne fale Wisły zaświeciły w cudną noc Ś-to Jańską złotawą łuską, umajoną w wieńce i kwiecie. Udział wioślarzy był znaczny. Zręczne łodzie szybowały w różnym kierunku po Wiśle, a na „lądzie“ członkowie komitetu Towarzystwa ze swym prezesem, hr. Ksawerym Branickim na czele, starali się o utrzymanie porządku. Zabawa trwała do godziny 11-tej. Kto wianka szczęścia nie pochwycił —poszedł może szukać... kwiatu paproci.

Pożar Iwanisk. W dniu 29-ym zm. w osadzie Iwaniska (pow. sandomierski) w godzinach popołudniowych wybuchł pożar. Groźny żywioł, szerząc się z olbrzymią siłą, zniszczył 36 domów mieszkalnych wraz z zabudowaniami gospodarskiemi. Podobno pastwą płomieni stały się również i pieniądze, przechowywane przez niektórych mieszkańców w stodołach. Dzięki energicznemu ratunkowi mieszkańców, jak i przybyłych z powodu jarmarku opatowian, kościół i jedną część osady zdołano ocalić. Straty wynoszą kilkadziesiąt tysięcy rubli.

Konsekracya kościoła. 24 zm. JE. ks. Arcybiskup Popiel dokonał poświęcenia nowego kościoła we wsi Chotomowie pod Jabłonną.

Nowa kaplica. W dniu 10 czerwca nastąpiło przy udziale licznej publiczności poświęcenie kamienia węgielnego pod nową kaplicę w Rjazaniu.

Zamek w Zawieprzycach (pod Lublinem), do którego przywiązaną jest legenda o Granowskim i zamordowanej z rozkazu tegoż pięknej Greczynce, zniknie wkrótce z powierzchni. Czego nie dokonały deszcze i mrozy, niszczy ręka ludzka, wiedziona chęcią zysku. Ze starych murów mają postawić ósmaki dla parobków w sąsiednim folwarku. Rozbijanie ścian idzie oporem, więc koszt przewiezienia i oczyszczenia cegły będzie nie o wiele mniejszym od wypalenia nowej cegły, a oszczędność wyniesie kopiejki. Zamek, zbudowany w stylu włoskiego renesansu, nawiedził pożar w pierwszej połowie bieżącego stulecia, poczem go już nie odbudowano. Stał on na wyniosłem wzgórzu, tuż nad rzeką Wieprzem, w nader malowniczej miejscowości i był ozdobą okolicy.

Burza gradowa. 30 zm., krótko trwająca nawałnica, połączona z niezwykłym wichrem i gradem, poczyniła w okolicach Warszawy wielkie spustoszenia. Przechodząc wąskim pasem od strony północnej na południe, najwięcej szkód porobiła w promieniu od wsi Górce do Szczęśliwic, niszcząc literalnie wszystko po drodze. W okolicach Rakowca, Woli, Czystego i Ochoty wszystkie plantacye nasion, warzywa i inspekta zupełnie zniszczone. Cebula, kapusta, melony itp., bite gradem, dochodzącym wielkości dużego orzecha, przedstawiają się na znacznych przestrzeniach, jakby pocięte nożem. Poniszczone również zostały wszystkie inspekta. Znaczne także straty poniosły okoliczne ogrody owocowe, w których wiele drzew połamanych, a miejscami drogi całe zasłane obciętemi gałęziami i liśćmi.

Grad, pędzony miejscami w zaspy, dochodził do wysokości pół łokcia. Nawałnica przechodziła tak wąskim pasem, że gdy w okolicy Ochoty grady wszystko wyniszczyły, w Mokotowie wcale nawet grad nie padał.

Z POD ZABORU PRUSKIEGO.

„Nowiny Raciborskie“ donoszą, że w tych okręgach górnoszląskich, w których istnieją polskie gazety, widoczny jest ubytek głosów socyalistycznych. Pomyślny ten zwrot zauważyć mianowicie można w okręgu raciborskim. Tam, gdzie rośnie ruch narodowy, tam socyalizm się cofa.

Piszą z Pleszewa: Trzynastu emigrantów żydowskich z Królestwa Polskiego zatrzymał landrat tutejszy, ponieważ wychodźcy nie będąc w posiadaniu paszportów, zamierzali udać się do Ameryki. Landrat nakazał odstawić ich szupasem do granicy rosyjskiej.

Zebranie strejkujących robotników i robotnic fabryki cygar Schubetta w Poznaniu, postanowiło zawiesić roboty, jeżeli właściciel fabryki nie podwyższy im płacy przeciętnie o 25 fenigów za tysiąc cygar. W zebraniu wzięło udział około 80 robotników i 20 robotnic.

Emigracya z Wielkiego Księstwa Poznańskiego do nowego świata istnieje od dawna, ale gdy w latach ubiegłych opuszczało kraj zazwyczaj od półtora do dwóch tysięcy ludzi, to w roku bieżącym emigracya urosła do rozmiarów niepraktykowanych. W ciągu pierwszych miesięcy wywędrowało około 6000 ludzi. Emigrują przeważnie rolnicy. Powody są rozmaite, natury ogólniejszej, nie bez wpływu wszakże pozostaje i nieurodzaj lat ostatnich, oraz działalność agentów emigracyjnych.

W tumie poznańskim podjęte zostaną obszerne prace ornamentacyjne. Ustawiono już na żelaznych walcach spoczywające rusztowanie, które sięga aż do stropu. Roboty rozpoczną się w przyszłych dniach. Freski malować będzie artysta-malarz p. Bolesław Łaszczyński, uczeń akademii malarskiej w Monachium. Sztukaterye zaś wykona sztukmistrz, p. Roelle z Wenecyi. Najprzód odnowione zostanie presbiteryum, co potrwa 2 lata. Nabożeństwo odbywać się będzie w tym czasie w kaplicy Szołdrskich, lub też w kościele Panny Maryi.

Katastrofa w Pile. Osuwanie się gruntu trwa dalej. Główne niebezpieczeństwo tkwi w unoszeniu przez wodę znacznej ilości namulisk, skutkiem czego wytworzyła się podziemna próżnia, powodując ustawiczne obrywanie się ziemi. Zarzucono projekt bicia i obmurowania nowej szachty odpływowej, coby zbyt wiele czasu zajęło; przyjęto zaś projekt berlińskiego studniarza, Beyera, który podjął się w ciągu dni 14-tu z pomocą ośmiocalowej żelaznej rury pochwycić źródło, a przez stosowne pogłębienie dostać się do wnętrza czystej wody. Beyer już od tygodnia pracuje nad wykonaniem swej obietnicy, dotychczas jednak bez skutku. Minister Eulenburg telegraficznie zawiadomił zarząd miasta o wysłaniu pomocy.

Z Piły. Znowu zapadł się jeden dom. Spustoszenie straszne. Pomimo, iż już tygodniomi pracują nad opanowaniem źródła, dotychczas jednakże się to nie udaje. Nawet doświadczeni fachowcy stoją bezradni. Przysłano tu z Berlina nadgórniezego Freunda i wyższego budowniczego rejen. Kummera. Obecnie biją kanał, który ma wodę wprost do Głdy odprowadzać. Opadnięcie ziemi skonstatowano już na obszarze 1,05 ha. Nadburmistrz Piły otrzymał uspokajające przyrzeczenia od ministrów z Berlina. Cesarz ma otrzymać jak najdokładniejsze informacye o nieszczęściu pilskiem. Ostatnie wiadomości z Piły brzmią pomyślniej, „bo oto udało się zatkać źródło, wydające te niezmierne słupy wody.“

Jak smutny stan polskich szkół pod zaborem pruskim, dokąd nasełają niemieckich nauczycieli, świadczy następujący fakt, który podaje „Dziennik Poznański“:

„Pewien nauczyciel H., pochodzący ze Szląska, a obdarowany przez rejencyą posadą w czysto polskiej wsi nad zachodnią granicą Księstwa, zostosowawszy poprzednio najrozmaitsze kary cielesne wobec swych uczniów, nie rozumiejących jego pięknych nauk, wynalazł nareszcie następującą operacyą: Oto rozszczepił w jednym końcu trzcinę, której używał przy karaniu w szkole, wsunął ją następnie tak we włosy dziecka, iż część ich dostała się między rozdarty instrument i dalej okręcał ową trzciną tak długo, dopóki nie wydarł kłębka włosów z głowy swej ofiary.

Kiedy sposób ten wymierzania pasyi na polskiem dziecku przez protegowanego nauczyciela, a importowanego dotąd ze Szląska, stał się głośnym, dokładano z pewnej strony wszelkich starań, aby sprawę tę zatuszować. Prokuratorya nważała jednakże fakt ten ra zbyt daleko idący, aby go można płazem puścić. Proces na ukończeniu, a wyrok niebawem zapadnie. P. H. chciałby jednakże nie czekać na takowy, tylko wynieść się skąd przyszedł. W tym celu stara się o posadę na Szląsku, ale w niemieckiej stronie. Sam bowiem widzi, że n a u c z y c i e l c h c ą c y s k u t e c z n i e d z i a ł a ć, m u s i z n a ć j ę z y k o j c z y s t y s w y c h u c z n i ó w. W przeciwnym razie gotuje swym uczniom same przykrości, nie osięgając ani w nauce, ani w wychowaniu pożądanych owoców, a sobie przysparza wcale niepotrzebnego kłopotu. Do tego samego przekonania winni przyjść wszyscy ci nauczycieli Niemcy, którzy ustanowieni zostali w polskich gminach, chociaż po polsku nie mówią. Przedewszystkiem zaś powinna rejencya zaprzestać uszczęśliwiać szkoły mające polskich uczniów takiemi wychowawcami. Na dotychczasowych przykrych dla nas eksperymentach powinno się zakończyć wreszcie.“

Z POD ZABORU AUSTRYACKIEGO.

Mistrz Matejko wyjechał dnia 24 czerwca na kuracyę do Karlsbadu. Genialny twórca „Bitwy pod Grunwaldem“ zabawi w Karolowych Warach cały miesiąc, poczem powróci do Krakowa. Towarzyszy Mistrzowi naszemu znany lekarz, dr. Józef Lurzycki, który go troskliwą otacza opieką, i w Karlsbadzie powierzy miejscowym doktorom. Matejko potrzebuje kuracyi i wypoczynku po długiej a usilnej pracy. Za kilka tygodni znowu zasiędzie przy sztalugach, pełen nowych sił, aby w dalszym ciągu przysparzać sławy naszej sztuce narodowej.

Cenny dar. Zakład im. Ossolińskich we Lwowie otrzymał ciekawy i cenny dar od p. Augusta Wolfa ze Lwowa. Jest nim zbiór ksiąg hebrajskich w liczbie 211 dzieł, zawierających przeważnie druki polskie, nieznane dotychczas bibliografom.

Czytelnia Polskiej Katolickiej Młodzieży w Krakowie otrzymała na wysłany telegram do JE. ks. Sembratowicza z powodu brutalnego napadu na Jego osobę przez młodzież ruską własnoręczne pismo JExcellencyi, z którego końcowy ustęp pozwalamy sobie przytoczyć:

„Udzielając błogosławieństwa Arcypasterskiego wszystkim przezacnym członkom polskiej katolickiej Czytelni, proszę Boga, ażeby Was wszystkich, którzy w swojem przywiązaniu do św. ktolickiego Kościoła jesteście najwierniejszymi Jego synami, jak najhojniej darami swej najświętszej łaski obdarzać raczył.“

Z INNYCH STRON.

Na granicy francusko-niemieckiej. W dniu 17 czerwca, na granicy francusko-niemieckiej, od strony Metzu, odbyła się rzadka, a może jedyna dotąd uroczystość, oddania władzom niemieckim zwłok kilkunastu oficerów i żołnierzy pruskich, z 1 pułku

grenadyerów gwardyi, padłych w bitwie pod Saint-Privat.

O godzinie 4 i pół rano, wojska francuskie, złożone z batalionu 147 pułku piechoty, 1 batalionu strzelców wenceńskich i 1 szwadronu huzarów, wyruszyły do Habonville, gdzie się miała odbyć cała ceremonia.

Jenerał Jamont, komendant 6 korpusu francuskiego, wraz z całym sztabem postępował na czele. Towarzyszył mu podprefekt z Bricy i proboszcz z Batilly.

Punkt o godzinie 6 rano, cały orszak stanął na miejscu. Wydobycie kości nastąpiło jeszcze w wilię i pomieszczono je w 17 trumnach. W dole znaleziono szczątki żołnierza francuskiego, który przez 23 lata spoczywał razem ze swoimi wrogami. Te złożono do trumny osobnej.

Wkrótce, w dyrekcyi od Amanvollers, powstał kurz i powoli rozróżnić już można było kilka powozów — to delegacya niemiecka.

O godzinie 6.30, delegacya zjawiła się przed pomnikiem. Za nią dwa próżne karawany, okryte wieńcami z liścia dębowego. Z powozów wysiadło sześciu oficerów niemieckich 1 pułku grenadyerów gwardyi, kapelan katolicki i ksiądz protestancki.

Wszyscy oficerowie, wraz z pułkownikiem Szwarzkopen, przydzielonym do ambasady w Paryżu, byli w paradnych mundurach. Przybliżyli się do jenerała Jamont i naczelnik delegacyi, przemówił do niego, dziękując mu, oficerom i przedstawicielowi władzy administracyjnej, za szlachetny udział w tej pobożnej ceremonii.

Jenerał Jamont z ręką przy kapeluszu stosowanym, odpowiedział, że to jest zwyczaj między wojskowymi, oddawać hołd i cześć zasłudze i waleczności, nawet przeciwnikom.

Podprefekt z Bricy, zwracając się do pułkownika Schwarzkopen, zabrał głos, w następujących słowach:

„Panie pułkowniku! do polecenia rządu Rzeczypospolitej, mam honor oddać panu szczątki wojskowych, z 1 pułku grenadyerów pochowanych tutaj w Habonville.“

Oficerowie, zwrócili się z odkrytemi głowami ku trumnom, bębny i trąbki zagrały marsza. Niemiecki ksiądz katolicki śpiewa „De profundis“, francuski mu wtóruje. Pastor protestancki wygłasza mowę, proboszcz z Batilly drugą i na tem się zakończył obrzęd na ziemi francuskiej.

Rozpoczyna się pochód ku granicy niemieckiej. Na czele pluton huzarów, dalej strzelcy, delegacye, jenerał Jamont ze sztabem, batalion 147 pułku z muzyką i karawany z trumnami. Pochód zamykały 3 plutony huzarów.

Nareszcie granica. Wojska francuskie stanęły nad nią. Karawany i delegacya niemiecka przejechały i znalazły się na dzisiejszem terytoryum pruskiem. Po drugiej stronie, przeszło 1000 oficerów i żołnierzy niemieckich wraz z komendantem 16 korpusu, jenerałem Haesslerem, oczekiwało na przybycie resztek wojowników. Jenerał Haessler, podjeżdża do jenerała Jamont, dziękuje mu serdecznie i prosi, aby przejechał granicę, gdyż pragnie zaprezentować mu oficerów swojego sztabu.

Po krótkiem wahaniu i usilnem zapraszaniu, jenerał Jamont, przestępuje granicę i znajduje się w Lotaryngii. Odbył przegląd kompanii honorowej 136 pułku piechoty niemieckiej, która mu oddaje honory, ukłonił się oficerom prezentowanym i cofnął do Francyi. Nie trwało to nawet 10 minut.

Karawany, delegacye, wojsko niemieckie i tłumy ciekawych, pociągnęły do Metzu. Wojsko francuskie, cicho bez muzyki, pomaszerowało w stronę Verden, unosząc ze sobą trumnę biednego żołnierza francuskiego, któremu oddane zostaną honory pośmiertne.

Opłata od pieniędzy. Osoby wyjeżdżające za granicę z Królestwa Polskiego i Rosyi, jak niemniej powracające z zagranicy zmuszone są składać na granicy rosyjskiej deklaracyę, wiele posiadają przy sobie pieniędzy, w razie bowiem posiadania więcej niż 3000 rubli, obowiązane od przewyżki tj. od każdego rubla opłacić podatek w ilości jednej kopiejki. W razie zaś utajenia większej nad 3000 rubli sumy, jedna czwarta całej sumy ulega konfiskacie.

Brak księży w Brazylii. Polacy w Brazylii skarżą się na brak księży katolickich polskich. Kolonia polska w Matheus, licząca 10.000 Polaków, wybudowała piękną plebanię, do której dodanym jest duży ogród; oprócz dochodów kościelnych, zapewniają swemu proboszczowi 2.500 milrejsów stałej rocznej płacy. Mimo tego dotychczas plebana nie mają, głównie z tej przyczyny, że brazylijskie władze księżom Polakom stawiają liczne trudności.

W Paryżu powstały bardzo groźne zaburzenia młodzieży uniwersyteckiej i policyi. Na kilku ulicach konna policya użyła broni, przyszło do starcia, wiele rannych z obu stron.

Olbrzymi grad. Pomiędzy Anaurem a Pasanaurem na Kaukazie spadł w z. m. olbrzymi grad. Niektóre kule gradowe ważyły do dwóch funtów. Wiele bydła, znajdującego się w polu, od uderzeń gradu zginęło.

Zagadkowa kradzież. Według telegramów do dzienników włoskich, po przybyciu do Chicago kolekcyi koronek, wysłanej na wystawę przez królowę włoską Małgorzatę, okazało się, iż brakuje 38 numerów z pomieszczonych w spisie koronek. Numera te przedstawiają wartość 125,000 lirów, a dotycza zbioru koronek staro-weneckich, jedynych w tym rodzaju.

Akademia dla kobiet ma powstać w Brukseli. Według planu, już prawie całkowicie opracowanego, uczennice będą musiały mieć lat więcej niż 18, a program nauk obejmie następujące przedmioty: Nauki przyrodnicze z uwzględnieniem gospodarstwa domowego, wiadomości elementarne z anatomii i fizyologii; „gramatyka“ sztuk ozdobnych; psychologia, moralność i nauki pedagogiczne; zasady nauk prawnych i społecznych, filozofia historyi.

Z Berna morawskiego donoszą: Zmarły tu adwokat dr. Teindl zapisał 80.000 złr. na zakłady dobroczynne, a między innemi 10.000 na niemieckie, a 30.000 złr. na czeskie szkoły średnie.

Kobiety w zarządzie miasta. Pani Hubertyna Auchert, jedna z paryskich emancypatek, napisała do rady miejskiej Paryża list, wzywający, aby słowa wprowadzono w czyn i przyznano kobietom udział w zarządzie miastem. Na początek proponuje autorka listu, aby kobiety w każdym z 20 tu okręgów miasta wybrały po jednej delegatce do rady; delegatki te, nie mając prawa głosowanie, mogłyby jednak zabierać głos na posiedzeniach komisyi, a nawet całej rady we wszystkich sprawach, obchodzących kobiecą część ludności.

Zjazd. Odbyty świeżo zjazd kolejowy w Londynie zgromadził przeszło 200 przedstawicieli kolei europejskich. Pomiędzy nimi znajdowali się i przedstawiciele kolei Królestwa. Obrady dotyczyły ułożenia rozkładu zimowego pociągów w komunikacyi bezpośredniej. Przyszły zjazd zapowiedziano w Monachium.

Fałszerze. W Wiedniu i w Peszcie obiega bardzo wiele fałszowanych jednokoronówek. Robione są one z aluminium.

Poświęcenie. Zakonnik benedyktyński Souton, postanowił z narażeniem własnego życia objechać wszystkie ważniejsze na kuli ziemskiej siedziby trędowatych. W szeregu pierwszych swych wycieczek, w ciągu roku, zwiedzi on Szwecyą, Norwegią, Laponią, Grecyą, Turcyą, Azyą mniejszą i powróciwszy do Paryża odda się w pracowni Pasteura teoretycznemu zbadaniu sprawy. Potem uda się do jednego z najniebezpieczniejszych

gniazd choroby i tam na miejscu będzie usiłował zastósować zdobyte wiadomości do leczenia chorych. Trąd, jak wiadomo, uchodzi dotąd za niemoc nieuleczalną.

Marszałek McMahon obchodził w dniu 30 zm. 86 rocznicę urodzin w najlepszym zdrowiu. W dniu 5 zm. upłynęło lat 34 jak wręczono laskę marszałkowską po bitwie pod Magenta. Marszałek Canrobert, młodszy o rok od McMahon'a, jest marszałkiem od r. 1856. Są to ostatni żyjący marszałkowie Francyi.

Siekiera Gladstone'a. Stowarzyszeniu amerykańskiemu „Timber Trades" udało się dostać jednę z siekier, u żywanych przez Gladestone'a do rąbania drzew w Hawardeen. Siekiera ta umieszczona jest w oddziale leśnictwa na wystawie w Chicago a następnie przechowywana będzie w gmachu stowarzyszenia.

† Ś. p. Stefan Kania. Ze smutkiem przychodzi nam zapisać w kronice żałobnej śmierć młodego malarza. Z Monachium donoszą, iż po za miastem znaleziono zwłoki ucznia tamtejszej akademii, Kani. Czy padł on ofiarą zbrodni, czy też samobójczą ręką targnął się na swoje życie, dotąd niewiadomo. Stefan Kania urodził się w Warszawie w roku 1874. Był on synem cenionego tam muzyka Emanuela Kani, a wnukiem Karola Kucza. Początkowo kształcił się w warszawskiej szkole rysunkowej — a przed rokiem z górą, wyjechał do Monachium, gdzie się zapisał do szkoły Fehr'a, potem zaś do akademii, korzystając równocześnie z rad profesora Brandta. Z Monachium już przed kilku miesiącami nadesłał na wystawę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych niewielki obrazek „W parku", bardzo obiecujący utwór młodego debiutanta. Bez zaprzeczenia, zgasły przedwcześnie artysta, należał do najzdolniejszych wśród grona najmłodszych pracowników pędzla. Rozwijając swój talent pod kierunkiem mistrza tej miary co Brandt, któremu malarstwo nasze zawdzięcza kilku pierwszorzędnych artystów, Stefan Kania w krótkim już czasie mógłby był zacząć samodzielną pracę. Parę przez niego zaczętych obrazów, a szczególniej rysunki z natury, wykonane tak w akademii, jakoteż w prywatnej szkole Fehr'a, gdzie przez jakiś czas pracował, najpiękniejsze na przyszłość wróżyły nadzieje.

Usiłowana kradzież. „Turkiestan Wiedomosti" potwierdzają urzędowo wiadomość o dokonanym w maju podkopie pod piwnicę filii Banku państwowego w Toszkencie, zostającej pod dyrekcyą księcia Dołgorukowa. Kradzież nie udała się, albowiem jeden z woźnych przypadkiem wpadł na ślad dokonywanych pod ziemią robót, ale złoczyńcy zdołali umknąć. Policyi udało się jednakże wykryć jednego z domniemanych uczestników zamierzonej kradzieży, który pod nazwiskiem Bojarskiego, Moskala,przybył do Taszkentu przed kilku miesiącami pod pozorem badań etnograficznych i zdobył sobie rychło liczne stosunki towarzyskie w Taszkencie. Dowody przeciw Bojarskiemu są bardzo silne, sam jednakże nie przyznał się do winy. Śledztwo jest już w toku. Znawcy podziwiają zręczność podkopu, który doprowadza do połowy i nadzwyczajną śmiałość sprawców, którzy odważyli się na tak ryzykowne przedsięwzięcie, lecz nie zachowali niezbędnej ostrożności.

Z AMERYKI.

Donoszą do Californii, że w Australii wybuchła rewolucya i że ogłoszono niepodległość. Pogłoska ta wywołała na razie sensacyę, jakkolwiek ogół jej nie dowierza.

Burza. Fort Dodge, Ia., 7 lipca. — Miejscowość Pomeroy, w powiecie Calhoun, licząca około 900 dusz, została przez burzę, prawie zupełnie zniszczoną. 48 ludzi straciło życie a przeszło 200 odniosło rany. Dowiedziawszy się o nieszczęściu wysłała kolej Illinois Central nadzwyczajne pociągi z lekarzami, namiotami i żywnością. Egipska ciemność panowała w Pomeroy, tak że przy świetle pochodni zabitych i rannych szukać musiano. W kilku domach znaleziono pod gruzami całe familie zabite. Południowa część miejscowości jest z ziemią zrównana, tam nie został nawet kamień na kamieniu. Rannych składano w kościele, znajdującym się w północnej części, którą wicher bardzo mało uszkodził. Wicher, połączony z wielkim gradem i deszczem, przechodził nad Pomeroy około 7 mej godziny wieczorem.

Podług najnowszych wiadomości straciły w tamtejszej okolicy 74 osoby życie.

Gubernator stanu Iowa, Boies, wydał dzisiaj odezwę, wzywającą obywateli stanu Iowa, do niesienia nieszczęśliwym pomocy.

Podobnież donoszą o strasznych spustoszeniach, jakie cyklon zrządził w stanie Nebrasca, gdzie także mnóstwo zebrał ofiar w ludziach.

Pożar. Chicago, Ill., 9 lipca.—Spalił się tu dziś jeden z licznych drewnianych hoteli, które jak grzyby po deszczu wyrosły tu w przededniu otwarcia wystawy, mianowicie Hotel Lincoln, 6020 Edgerton ave., położony tuż przy gruntach wystawowych. Pięć osób odniosło uszkodzenie, a Jessie Bigelow z Ogden, Utah, wyskoczywszy z okna 3 piętra, pokaleczyła się tak ciężko, że prawdopodobnie nie wyzdrowieje.

Cyklon. Cedar Rapids, Ia., 6 lipca.— Dzisiaj w nocy przechodził tutaj ogromny wicher, który kilka dachów zrzucił i setki drzew wywrócił. Zboża są prawie zupełnie zniszczone.

Lakefield, Minn., 6 lipca. — Ogromny wicher który dzisiaj wieczorem miasto i okolicę nawiedził, narobił wiele szkody. Spichlerz S, Th. Hyde'go, i wieża kościoła metodystów zupełnie są zburzone. W okolicy straciło kilka osób życie.

Sioux City, Ia., 6 lipca.— Dzisiaj wieczorem przechodził tutaj cyklon, połączony z deszczem i gradem, zniszczył zboża, pozrywał druty telegraficzne i uszkodził wiele budynków.W Quimly straciła podczas burzy Allen Warbuton i w Cherokee pani Molyneau życie. W pociągach kolei Illinois Central wybił grad wszystkie szyby.

Des Moines, 6 lipca. — Z Joley donoszą, że dzisiaj wieczorem cyklon połowę zabudowań w Pomeroy zniszczył, przyczem kilka osób życie straciło, a wielu ranionych zostało. Wysłano do Pomeroy osobny pociąg z lekarzami.

Alta, Ia., 6 lipca.—Od Aurelia do Newell zniszczył cyklon, połączony z deszczem i gradem, wszelkie sprzęty w polach i ogrodach. Kilka osób straciło życie.

Des Moines, Ia., 6 lipca. — Z Tara przyszedł telegram, że podczas burzy przeszło 100 osób życie straciło a około 200 osób ranionych zostało. Wszystkie zabudowania są zniszczone.

Z WYSTAWY. Na wystawie w Chicago próbowano strzelbę wynalazku Hiram'a Maxim, ze stanu Maine. Jest ona 45 kalibru i daje 750 strzałów na minutę. Na wierzchu, wzdłuż lufy, umocowana jest rura, napełniona wodą, aby lufa się nie rozgrzała. Oficerowie obecni ze wszech stron zadowoleni byli z tej nowej fuzji.

Niezwykłym „artystą" jest Pollak, który na szczęście nie jest Polakiem, lecz Węgrem. Przybył do Chicago, ażeby na Midway Plaisance popisywać się „wymową". W przeciągu 40 minut może on wymówić 20,000 różnych wyrazów, co czyni 500 wyrazów na minutę.

Pożar na wystawie. W poniedziałek 10 bm., wybuchł pożar w drewnianym, kilkupiętrowym budynku przeznaczony na skład mięsa dla restauracyi wystawowych, gdzie się znajdowały także maszyny do wyrabiania lodu. W budynku było 35 beczek oliwy, która zapaliwszy się podsycała niszczący żywioł. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi było świadkami strasznej sceny, kiedy strażacy wchodzili na szczyt gmachu płonącego i stawali się pastwą płomieni. Kobiety mdlały, łzy płynęły z oczu mężczyzn

na ten widok poświęcenia. Wielu z nich kończyło na wieży, inni skakali na dach płonący i wśród żaru życie kończyli. Pożar wybuchł o godz. 1.15, w ciągu niespełna pół godziny budynek spłonął i 30 strażaków pożarnych straciło życie, wielu odniosło ciężkie rany i oparzenia. Budynek ten miał 250 stóp długości a 150 stóp szerokości.

W Gmachu górnictwa i w Gmachu transportacyi obracają się maszyny, warczą koła, poruszają się tryby, pomimo, że nigdzie nie widać pary, dymu ani iskier elektrycznych. Siłę poruszającą stanowi tam—zgęszczone powietrze, nie sprawiające najmniejszego szumu i łoskotu.

Wytwarza się takie powietrze w Hali maszyn, skąd rozchodzi się za pomocą rur tam, gdzie potrzeba. Cały system takich rur znajduje się pod podłogą budynków, w których maszyny są poruszane zgęszczonem powietrzem. Nietylko wprowadza ono w ruch lokomotywy, maszyny górnicze, tokarnie i świdry, lecz służy nadto do wentylacyi.

Usuwa ono nieprzyjemne gazy z kanałów odpływowych, pozwala oddychać świeżem powietrzem w Gmachu środków przewozowych, gdzie panowałby zaduch nie do wytrzymania, gdyby para rozgrzewała tam kotły i różne smarowidła, podnosi w górę liczne elewatory i spełnia tysiączne funkcye.

Cały tuzin fabrykantów papieru złożył się na to, ażeby w Gmachu maszyn pokazać publiczności, w jaki sposób, za pomocą zgęszczonego powietrza, wyrabia się z drzewa biały papier. Sprowadzane z Wisconsin kloce tnie się na kawałki 18 calowe, które miele się na kamieniach, dopóki nie zamieniają się w mokrą masę, podobną do słodziu. Tę masę mięsza się z rozmaitemi solami, poddaje znowu tarciu i mięszaniu i przeprowadzą ją do zbiornika, gdzie wygląda jak śmietana. Stąd dostaje się gotowa masa papierowa pomiędzy różne walce i wychodzi w postaci wielkich kręgów białego papieru. Jedne walce wydobywają z masy wodę, inne gładzą papier, glansują go i zwijają. W przeciągu 24 godzin wyrabia maszyna 10 ton gotowego papieru z drzewa, za pomocą zgęszczonego powietrza, wprawiającego maszynę w ruch.

Redakcya „Kuryera Polskiego“ w Milwaukee wydaje od dłuższego czasu tygodnik pod tytułem „Gazeta Wiskonsinska“, która pomieszcza najlepiej dobrane i najświeższe wiadomości z całego świata a odznacza się bardzo starannĕm kierownictwem tak, że śmiało rzec można, iż jest nieodrodną córą „Kuryera Polskiego“.

KRONIKA MIEJSCOWA.

W niedzielę, 9 bm. odbyły się prymicye w kościele Serca Jezusowego ks. Franciszka Gzelli. Nowowyświęcony kapłan odprawił we środę, d. 12 bm. mszę świętą w kaplicy Sióstr Felicyanek, na której udzielił błogosławieństwa swoim Rodakom, bardzo licznie zgromadzonym.

Tutejsze polskie Towarzystwo Śpiewackie ,,Harmonia" urządza dnia 22 bm. wycieczkę do Cleveland, gdzie wystąpi z koncertem. Zniżone ceny jazdy podają dobrą sposobność, aby i tutejsza publiczność pośpieszyła na produkcye ,,Harmonii" do sąsiedniego miasta.

Ludność naszego miasta. Według obliczenia komisyi wodociągowej posiada nasze miasto w roku bieżącym 257.050 ludności. Ludność więc wzmogła się bardzo szybko. Oto zestawienie ludności Detroit z poprzedzających lat: W r. 1860 wynosiła ludność: 45.619; w r. 1870: 79.757; w r. 1880: 116.340; w r. 1890: 205.876.

Finanse miejskie. Z dniem 1 lipca zamknięto rachunki roczne. Ze sprawozdania tego widzimy, że miasto nasze miało przychodu $6.229.471.44, wydatków w tym czasie miało $5.020.383.56. Pozostaje więc nadwyżka $1.202.087.88. Z kilkudziesięciu pozycyi w wydatkach za rok ubiegły (do 1 bm.) podajemy niektóre cyfry. Koszta utrzymania szkół wynosiły $496.643, straż ogniowa 485.496, chodniki i brukowanie ulic 417.174, policya 361.847, drogi 297.870, czyszczenie ulic 157.203, parki i bulwary 133.329, oświetlenie 164.830, upiększenie bulwarów 289.219, biblioteka 34.317, mosty na wyspie 18.552.

Objaśnienia do rycin.

ROZMOWA CHRYSTUSA PANA Z SAMARYTANKĄ.

,,Przyszedł tedy (Jezus) do miasta Samaryi, któ-,,re zowią Sychar: blisko folwarku, który dał Jakób ,,Józefowi synowi swojemu. A była tam studnia Ja-,,kóbowa. Jezus spracowany z drogi siedział nad ,,studnią. Godzina była jakoby szósta.'' Podróż ta Chrystusa Pana wypadła w miesiącu maju lub czerwcu, gdyż święta Paschy spędził w Jerozolimie, a potem jeszcze obchodził Judeę nauczając Sam i przez uczniów swoich. Szósta też godzina wedle liczenia żydowskiego odpowiadała naszemu południu, łatwo więc zrozumieć spracowanie Pana Jezusa, gdy podróżował pieszo i to w tak gorącym kraju. Usiadł samotny przy studni, ale nie samo pragnienie było tego wypoczynku powodem. Jako, gdy z chwały niebieskiej na świat zstępował, nie swej wygody szukał, tak i siadając nad studnią, oczekiwał tembardziej spragnionych, aniżeli o swem zmęczeniu myślał. Widzimy to z całego ciągu rozmowy z Samarytanką. Zaledwie Jezus usiadł: ,,przyszła niewiasta z Samaryi czerpać ,,wodę. Rzekł jej Jezus: Daj mi pić. Bo uczniowie ,,jego byli odeszli do miasta, aby kupili strawy. Rze-,,kła mu tedy ona Samarytańska niewiasta: Jakoż ty ,,Żydem będąc, prosisz u mnie pić, któram jest nie-,,wiasta Samarytanka? bo Żydowie nie obcują z Sa-,,marytany. Odpowiedział Jezus, i rzekł jej: Byś wie-,,działa dar Boży, i kto jest coć mówi: Daj mi pić, te-,,dybyś go snać była prosiła, a dałby ci wodę żywą.'' Jakkolwiek czuł Chrystus Pan pragnienie, nie wspomina Ewangelia, aby się był napił, ale owa studnia i woda miały mu służyć jako środek apostolstwa. Jakoż zażądawszy wody, zaraz zwraca rozmowę do innego przedmiotu, w którym pragnienie i woda mają tylko być przykładami i służyć za porównanie. Nie tłómaczy więc Jezus owej niewieście, czemu nie zważając na przepisy żydowskie, nie zraża się brać napoju z rąk Samarytanki, ale powiada, że gdyby ona wiedziała z kim rozmawia, toby sama go prosiła i nie odmówiłby jej wody żywej. Wyrażenie ,,woda żywa'' znaczyło u żydów to samo, co źródło bijące, dla odróżnienia od wód stałych jak jeziora i stawy. Ale P. Jezus w innem jeszcze znaczeniu mówił o wodzie żywej, już w czysto duchowem, jak to dalszy ciąg rozmowy wskazuje.

WŚRÓD PUSZCZY.

Wśród gór szkockich, w cieniu drzew olbrzymich wznosi się dość dobrze zresztą zachowany zamek średniowieczny. Baśń ludowa przywiązuje do tego zamku rozliczne podania krążące w ustach ludu od wielu pokoleń.

W. CHILINSKI,

812 St. Aubin ave.

POLSKI KRAWIEC

wykonuje ubrania podług miary i po najnowszej modzie. Mam także na składzie UBRANIA MĘZKIE jako też i DZIECINNE. Wielki zapas KAPELUSZY, KRAWATÓW, KOŁNIERZYKÓW i KOSZULLETNICH po bardzo nizkich cenach. Pzyjdźcie i przekonajcie się.

812 St. Aubin Ave. Detroi

LETLE, GONTY, SZTACHETY, SŁUPKI

SKŁAD



DRZEWA BUDULCOWEGO

WĘGLI,

DRZEWA OPAŁOWEGO

DRZWI, OKIENNICE, GZEMSY, DRZAZGI.

WALTER, KRAUSMANN & KUHN

polecają Szan. Publ. Polskiej swój skład

TOWAROW ŁOKCIOWYCH

karpetów, firanek itp.

Również mamy zaszczyt podać do wiadomości, iż utrzymujemy dwóch klerków polskich, którzy w każdej chwili usłużą swoim Rodokom.

Walter, Krausmann & Kuhn

86 - 88 Gratiot Ave.

D E S K I

Tanie miejsce w Detroit do kupienia Łatek, Desek i różnego rodzaju Drzwi, Okna, Okiennic i t. p. jest u

G. W. Larkins & Co.

643 do 647 Gratiot Ave. Blisko Dubois ulicy.

Zgłoś się do nas, pierwej nim gdzieindziej pójdziesz.

Bank oszczędności.

Kapitał, nadwyżki i zobowiązania akcyon. $1.125.000

Deposyta 6.75.0000



Pośredniczy w stosunkach finansowych między Ameryką i starym krajem. Posyłki do starego kraju przez „Money Order“ wysyłamy bezpłatnie. Podarunki na kolędę lub Nowy Rok wysyłamy do starego kraju w ratach bardzo małych spłacane, bezpiecznie i umiennie

M. W. O'BRIEN, Prezydent. F.A. SCHULTE, Wiceprezyd. G.E. LAWSON, Kasyer.

A. POSSELIUS & CO.

FABRYKANCI I SPRZEDAWCY

MEBLI, DYWANÓW, POŚCIELI,

Woziki dlA dzieci

Meble wyściełane.

robią na obstalunek

Meble Offisowe,

KANTORY, POŁKI, LODOWNIE.

414 do 418 Gratiot ave.

Tel. 2219 Detroit. Mich



Ks. Kneipp'a

Towarzystwo środków leczniczych.

CHICAGO, ILL.

Ks. Kneipp'a

Środki wymiatowe i wody mineralne oraz wszystkie przez ks. Kneipp'a rekomendowane lekarswa domowe są do nabycia u

Pauly, Fuchs & Co.

492 GRATIOT AVE. DETROIT MICH

Wm. Buszman,

1002 St. Aubin Ave.

jest Agentem dla Dr. Piotra Gomozo. Mam także inną medycynę od tego samego doktora Fornis Liniment, która przywraca zdrowie szybko, leczy reumatyzm od 1 do 6 dni, dyfteryą w 12 godzin, ból w krzyżach w 30 minutach, ból głowy w 3 minutach, ból zębów w 1 minucie. Bracia Rodacy, lepiej jest mieć dobrą medycynę w domu, aniżeli płacić grube pieniądze na doktorów. Przyjdźcie i przekonajcie się.

W ADMINISTRACYI „NIEDZIELI"

jest do nabycia

ŻYWOT ŚW. WOJCIECHA

po 10 ct. za egzemplarz.

I REINEKE-LIS

poemat satyryczny drukowany w ,,Niedzieli'' po 20 cnt. za exemplarz.

PAULY, FUCHS & CO.

SKŁAD TOWARÓW KOŚCIELNYCH

i odznak dla Towarzystw.

Agenci słynnej fabryki ubiorów kościelnych Hubera i Meyerbergera w Szwajcaryi.

Wielki wybór UBIORÓW KOŚCIELNYCH, ALB, KOMŻY, KORONEK DO OŁTARZOW, KIELICHOW, CYBORIUM, MONSTRANCYJ, STATUI

Wielki wybór książek do nabożeństwa w językach angielskim, niemieckim i polskim.

Wielebnemu Duchowieństwu, które nas względami swemi zaszczyci, polecamy nasze usługi na tanich warunkach.

492 GRATIOT AVE. DETROIT, MICH.

Odwiedźcie

FRED. HASSIG'A

Skład TOWAROW ŁOKCIOWYCH

1119 St. Aubin Ave.

Ubrane DAMSKIE KAPELUSZE i kapelusze dla dzieci od 50 c. i wyżej.

Ubrania spodnie od 10 c. i wyżej. Najlepszy i najtańszy skład na St. Aubin Ave.

POLSKI SKŁAD
MĘZKICH UBIOROW

na rogu ulic

Hastings i Willis Ave.



Pytaniem jest gdzie można jaknajtaniej kupić ubrania dla Mężczyzn, Chłopców i Dzieci? Proszę się dowiedzieć od tych, którzy mój SKŁAD już kilka razy odwiedzili, a z pewnością żaden z Was mego Składu nie ominie lecz przyjdzie i przekona się, że mój towar jest jaknajnowszej mody i po najtańszej cenie.

Mam duży wybór UBIOROW MĘZKICH tak samo dla CHŁOPCOW i DZIECI zarazem modnych

Kapeluszy, krawatek, kołnierzyków, itp. rzeczy. Wszystko to można dostać po najtańszych cenach na

rogu Hastings i Willis Ave.

FRANCISZEK B. MELIN

JAN CHATEAU,

PLUMBIERZ.

Wykonuje wszelkie roboty z koprowej i żelaznej blachy

587 Russell Str.

Detroit, Mich.

ANTONI V. CZAPP. PIOTR LUTZ.

A. V. CZAPP & CO

SKŁAD

TOWAROW ŁOKCIOWYCH

BIELIZNY MĘZKIEJ, KOŁNIERZY, MANKIETÓW, KAPELUSZY, CZAPEK etc.

576 Gratiot Ave.

pomiędzy Dequindre i St. Aubin Ave.

Detroit, - - Mich.

FR. PIOTROWSKI,

poleca Szan. Rodakom swój

SKŁAD OBUWIA

dla mężczyzn, kobiet i dzieci.

811 St. Aubin Ave.

Chcesz mieć dobre obuwie? Idź do Piotrowskiego

ALEXANDER LEMKE,

SKŁAD

PIECÓW

Towarów groseryjnych i żelaznych

Farby, Oleju, Szkła, Kitu

MĄKI i PASZY.

823 825 ST. AUBIN AVE. DETROIT, MICH.



ANTONI OSEBOLD JR.

FABRYKA I SKŁAD

MEBLI KOŚCIELNYCH.

Ołtarzy, Kazalnic, Chrzcielnic, Statuły z drzewa, kamienia i marmuru.

Plany i rysunki wysełam na żądanie.

1033 GRATIOT AVENUE.

DETROIT, MICH.

J. FREDA i SYNOWIE,

Polski zakład krawiecki,

Wykonuje ubrania na zamówienia.

Skład Ubrań, Kapeluszy, Czapek, Bielizny Męzkiej, Krawatów Etc. Etc.

MUNDURY DLA TOWARZYSTW.

259 Gratiot Ave., 690—692 Hastings Str. i 1006 Michigan Ave.

Detroit, — — — — — — — — Mich.

IGNACY WOLFF

FABRYKANT TABAKI DO ZAŻYWANIA.



Wyrabia tabakę w najlepszym gatunku na sposób ztarokrajski. Za nadesłaniem czka 2 cent. wyseła próbki i cennik.

Hurtownym odbiorcom odstępuje się znaczny rabat.

778 DUBOIS STR.

Detroit, Mich.

JAN POTICHKE

Polski zakład

KRAWIECKI

Rewerendy dla Wgo Duchowieństwa.

Wykonuje ubrania podług najnowszej mody i po najtańszych cenach.

652 MICHIGAN AVE. DETROIT.

FRIEDERICHS I STAFFIN

FABRYKA I SKŁAD

OKIEN KOLOROWYCH

MALOWANIA PROSTE I ARTYSTYCZNE NA SZKLE

dla kościołów, mieszkań prywatnych, statków parowych wagonów kolejowych.

107 109 Gratiot Ave. DETROIT, MICH

Windsor, Ont. Fabryka przy ulicy Sandwich W. P. O. Box 24.